7 DNI

CENA 50 GR

Nakład 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO
WANE



MARZEC

Największy armator świata

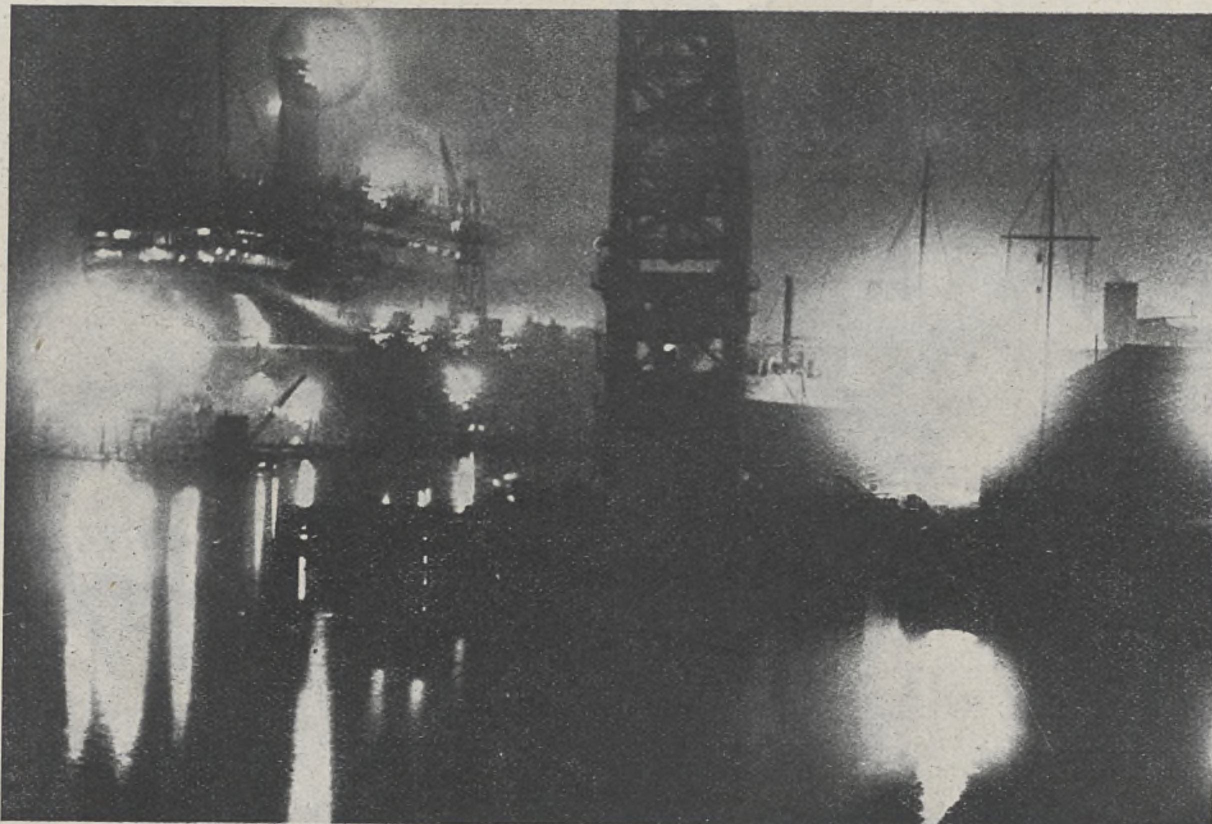
W trzydziestych latach XIX stulecia przybył do Hamburga niejaki Samuel Goel Ballin, duński żyd, szukając w tym największym porcie niemieckim odpowiedniego warsztatu do pracy. Mając we krwi żyłkę do handlu, zakłada fabrykę sukna, która, dzięki jakości swych wyrobów, zaczyna zwycięsko konkurować z miejscowemi niemieckiemi firmami. Sukcesy te, stają się jednak wkrótce gwoździem do trumny młodego przedsiębiorstwa. Niemieccy kupcy, interwenjują w senacie hamburskim, który wydaje szereg ostrych zarządzeń przeciwko żydom, znosząc między innemi *ghetto*, a tem samem pozbawiając żydów prawa posiadania nieruchomości w gminie miejskiej. Samuel Ballin, przeciwko któremu głównie było skierowane ostrze tego wyroku, widzi się zmuszonym zwinąć coraz lepiej prosperującą fabrykę, a niechcąc się narażać na dalsze prześladowania, zamyśla wyemigrować gdzieindziej. Przychodzi mu jednak niespodzianie w pomoc nowoczesna wędrówka narodów—emigracja do Ameryki, która w czterdziestych latach ubiegłego wieku przybrała olbrzymie rozmiary. Dziesiątki tysięcy emigrantów, którzy widzieli w Ameryce kraj obiecany, mlekiem i miodem płynący, ciągną nieprzerwaną falą z Niemiec, Polski, Austrji i Rosji, zapełniając niezaradnym tłumem wszystkie porty niemieckie. To nagromadzenie emigrantów różnej narodowości, dało asumpt setkom niebieskich ptaków, do oszustwa i okradania naiwnych ludzi, nieznających obcego języka i zdanych na łaskę i niełaskę przygodnych opiekunów. Senat Hamburga, widząc niebezpieczeństwo dla miasta, w tysiącach pozbawionych pieniędzy i mienia emigrantów przez sprytnych oszustów, zezwala na otwarcie specjalnych biur emigracyjnych, któreby się zajmowały przybyłymi emigrantami, ich pobytem w mieście, ułatwieniami w zdobyciu biletów okrętowych, wreszcie załadowaniu na okręt i wysłaniu do Ameryki. Samuel Ballin, otwiera tego rodzaju przedsiębiorstwo, przyczem swoją uczciwością w obchodzeniu się z emigrantami wysuwa się na pierwsze miejsce.

15 września 1857 roku przychodzi na świat Albert Ballin, jako trzynaste dziecko rodu Ballinów. Do siedemnastego roku życia kształci się w szkole handlowej, przyczem, podczas swej nauki, nie odznaczał się zbytnią pilnością. Gdy w roku 1874 umarł stary Samuel, Albert wraz ze swym bratem Józefem obejmują przedsiębiorstwo ojca, które było znane pod firmą Morris i Co. Od samego początku Albert Ballin zakreśla sobie pewien plan postępowania, który z drobiazgową dokładnością zrealizował podczas całego swego życia: utworzyć przedsiębiorstwo przewozowe, któreby opanowało wszystkie oceany. Plan ten, na początku swego powstania, wydawał się śmiesznym. Firma Morris i Co. nie posiadała nawet żadnej barki, nie mówiąc już o okrętach oceanicznych. Przytem zawiązane przez kupców hamburskich „Hambursko - Amerykańskie Przewozowe Towarzystwo Akcyjne" dzierżyło w swych dłoniach cały ruch emigracyjny na zachód. Drugi strumień emigracji płynął przez Bremę, z jej „Północno-niemieckim Lloydem". Ballin, zawiera umowę z armatorem, niejakim Edwardem Carrem, właścicielem dwuch niewielkich statków pasażerskich, organizuje tak zwaną „Carr - Linie" i rozpoczyna walkę ze swymi potężnymi konkurentami, obniżając taryfę przewozową. Walka ta doprowadza w końcu obie strony do absurdalnych wyników, przyczem „Carr - Linie", na której czele staje Ballin, obniża wreszcie przewóz do Ameryki na 6 dolarów od osoby. Przeciwnicy widząc, że Ballin, obracając minimalnym kapitałem może ich szybko położyć postanawiają kupić „Carr - Linie". Ballin, przewidując to posunięcie, a nie będąc pewnym, czy jego patron, Carr, zdoła się oprzeć pokusie złota, łączy się z „Union - Linie" i w ten sposób stwarza przedsiębiorstwo warte, jak na ówczesne czasy, olbrzymią sumę — 2 i pół miljona marek. „Hapag" i Lloyd uznali się za pobitych. Jednakże podziwiając spryt i przedsiębiorczość Ballina, postanawiają go kupić dla siebie. Ballin zgadza się, ale pod warunkiem, że obie strony połączą się w jedno towarzystwo, pod jego zwierzchnim kierownictwem. W ten sposób w maju 1886 roku bierze swój początek, największa europejska linja okrętowa, pod nazwą „Hamburg — America" Linie". Towarzystwo posiada naówczas 22 okręty o ogólnej pojemności 60.000 tonn. Albert Ballin, będąc typem człowieka, który, przy pracy, potrzebuje nieodzownego czynnika jakim jest walka, wypowiada wojnę angielskim linjom okrętowym, tworząc nowy szlak emigracyjny ze Szczecina przez Gotenburg. W ten sposób lwia część emigrantów europejskich wyjeżdża do Ameryki za pośrednictwem portów niemieckich. Jednakże brak większego kapitału zmusza Ballina do wyjazdu do Ameryki, gdzie tworzy filję Hapagu stawiając na jej czele niemieckiego - amerykanina Karola Schurza. To daje mu kredyty, które pozwalają na wybudowanie nowych okrętów, mogących przebyć przestrzeń przez Ocean w 7 dni. Kolosalne sukcesy, jakie zyskał Ballin w skróceniu podróży pomiędzy dwoma częściami świata, dają mu kompletne zwycięstwo nad konkurentami, w wyniku którego opanowuje linje okrętowe do Kanady i Meksyku oraz organizuje towarzystwa okrętowe: „Hamburg—Południowa Ameryka" i „Niemcy—Wschodnia Afryka".


Portret Alfreda Ballina.

Młodzieńcze plany Ballina zaczynają się urzeczywistniać. Kupno przez niego „Kingsin Linie" i firmy okrętowej „Freitas i Co", powiększają tonnaż towarzystwa, który w roku 1900 dochodzi już do pół miljona. Kapitał, przedstawia sumę 80 miljonów marek, przyczem zwiększa się z roku na rok. W roku 1900 stocznie hamburskie spuszczają na wodę, pierwszy okręt luksusowy „Deutschland". O wielkości jego, jak również przystosowaniu do najbardziej wyrafinowanych wymagań pasażerów niech posłużą następujące cyfry: 1000 kabin dla pasażerów, 500 ludzi załogi, 200 kelnerów i kucharzy, basen do pływania, sala koncertowa, sala gimnastyczna, sala balowa, ogród dla dzieci i t. p.

W tym czasie, rozpoczyna Ballin walkę z nowopowstałym kartelem morskim Morgana. Niemogąc się oprzeć olbrzymim wkładom pieniężnym swego amerykańskiego konkurenta, Ballin zawiera z nim pakt, którym zostają ściśle ograniczone wysokości taryfy pasażerskiej i bagażowej. Jednakże niechcąc się poddać Morganowi, Ballin wchodzi w potajemny kontakt z angielską „Cunard - Line", z którą stwarza potężny kartel. Budowa nowych kolosów oceanicznych, jak: „Imperator", „Vaterland" i „Bismarck" kładzie kres zaborczej polityce Morgana. Zwycięstwo Ballina jest bezapelacyjne. W roku 1913, rozporządza kapitałem 150 miljonów marek w akcjach i 63 miljonów we flocie. Tonnaż dochodzi do 1 i pół miljona. Plan Ballina, w opanowaniu żeglugi wszechświatowej zaczyna dojrzewać. Ciesząc się osobistą przyjaźnią cesarza Wilhelma II, który notabene obsypywał łaskami, każdego bogatego przedsiębiorcę i przemysłowca niemieckiego, przedstawia mu swe dalsze zamiary, uzyskując obietnicę poparcia finansowego i politycznego. Plany tej „Pan-Wszechświatowej Żeglugi" spalają na panewce. Wybucha wielka wojna, która zastaje większą część floty Ballina na morzu. Część jej chroni się do portów neutralnych, większość jednak zostaje skonfiskowana przez Ententę. Ballin, w swych prywatnych notatkach wspomina, że jest to zagłada wysiłków jego całego życia. Nie mieszając się nigdy do polityki, nie rozumie potrzeby


Stocznia hamburska w nocy.

załatwiania konfliktów międzynarodowych z bronią w ręku. Był on zawsze zwolennikiem zwyciężania swego przeciwnika przez zawarcie z nim polubownej umowy, względnie stworzenia wspólnych potrzeb i ideji. Uważając Anglję za najgroźniejszego przeciwnika, lansuje publicznie swój projekt szybkiego i zwycięskiego zakończenia wojny. Mianowicie szybkie pobicie Belgji i Francji a następnie zawarcie sojuszu z Wielką Brytanją. Plan ten pozostał jednak tylko planem. Ballin wystąpił również ostro przeciwko systemowi walki łodziami podwodnemi, piętnując jej rozbójniczy charakter. Pomimo tego rodzaju „rewolucyjnych" deklaracyj, cieszył się nadal poważaniem władz rządowych, a cesarz demonstracyjnie złożył mu wizytę, w dniu jego imienin.

Z chwilą zakończenia wojny, Ballin, który mimo wielkich ciosów, jakie dotknęły jego przedsiębiorstwo, nie stracił energji i zakreślił sobie szeroki plan odbudowy dzieła swojego życia, napotyka na nową trudność. Rewolucja w Hamburgu łamie ten silny charakter, który napróżno starał się dojść do porozumienia z nowemi rewolucyjnemi rządami. Wreszcie widząc, że nieznajduje posłuchu w radach robotniczych i żołnierskich zażywa truciznę i umiera 8 listopada 1918 r., w dniu ogłoszenia Republiki w Berlinie.

Śmierć Ballina niepowstrzymała jednak dalszego rozwoju olbrzymiego przedsiębiorstwa. Dzięki pomocy kapitałów Harrimana i połączeniu się z „Hugo - Stinnes - Linie" oraz „Austral - Kosmos", „Hamburg - America - Linie" zajęła znowu przodujące stanowisko na kontynencie europejskim.

(g.)

Wyprawa międzynarodowa na Himalaje

W tej samej chwili, kiedy cały świat zwrócił [...]ą uwagę na poczynania Hindusów, które, jak to [...]kazaliśmy w jednym z naszych ostatnich nume[...]w, mogą wywrzeć wpływ na bieg interesów mię[...]ynarodowych i naruszyć tak trudną do utrzy[...]ania równowagę polityczną — znaleźli się ludzie, [...]órzy nic sobie nie robią ze spraw ogólnych, wy[...]szyli do Indji celem dokonania podboju... szczy[...]w górskich. Wyprawa ta, w skład której wcho[...]ą przedstawiciele pięciu narodów — Niemcy [...]r. Helmath Richter, lekarz i dziennikarz oraz [...]of. Günther O. Dyrenfurth z małżonką), An[...]k (Frances Smith, korespondent „Times'a"), [...]wajcar (Charles Duvanel, fotograf i operator fil[...]owy) i Italczyk (Enrico Gaspari, przewodnik) — [...]kusiła o osiągnięcie najwyższego szczytu (8.580 [...]) i wyjechali już z Wenecji do Indji. Należy [...]dmienić, iż śmiałe to przedsięwzięcie nie nale[...]do bezpiecznych, jest jednak na drodze szybkie[...] zrealizowania. Traf — żeby dopisała pogo[...], traf, żeby nie zbłądzić z właściwej drogi —, [...]szystko zależy od uśmiechu Pani Fortuny. Od[...]ażni alpiniści, nie licząc się z opinją publiczną, [...]az fatem, iż członkowie podobnych wypraw ży[...]em już przypłacili górną swą ambicję, postano[...]li *coute que coute* wdrapać się na niebotyczny [...]czyt.

A zadanie to niełatwe, zwłaszcza z powodu [...]brzymich trudności terenowych(prostopadłe nie[...]al ściany, pokryte lodem).

Zobaczymy czego zdołają dokonać...

[...]szenjunga, niedostępny szczyt Himalajów [...]st drugim z rzędu na świecie. Dwukrotnie [...]iłowano dotrzeć do tego szczytu — raz z połud[...]owej strony, przyczem 4-ch śmiałków przypłaci[...]tę próbę życiem, drugi raz ze wschodniej stro[...], lecz uczestnicy wyprawy zawrócili z połowy drogi.



Członkowie wyprawy międzynarodowej (Niemcy, Anglja, Austrja, Italja i Szwajcarja) z prof. Güntherem O. Dyrenfurthen na czele wyjechali z Wenecji 24 ub. m. Marsz górski rozpocznie się w końcu marca w miejscowości Darjeeling.

„Kenkoku-Sai"



Święto „Kenkoku-Sai", obchodzone we wszystkich miastach Japonji w rocznicę powstania cesarstwa, łączy cały naród w hołdzie monarsze. Na fotografji — procesja w Tokjo, krocząca ku pałacowi cesarskiemu.

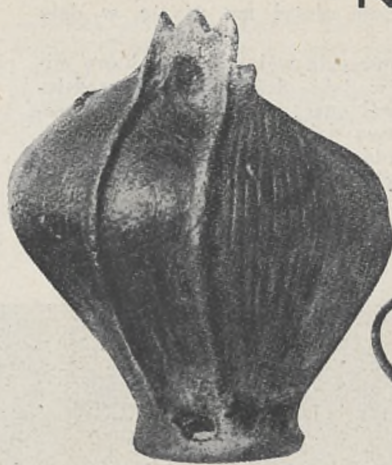
„Kenkouku-Sai" czyli doroczny obchód ku pamięci powstania cesarstwa jest uważane w Japonji za jedno z najważniejszych świąt. Bo jakżeby inaczej? Wszak cechą zasadniczą, na której się opiera wewnętrzny, nawskroś patrjarchalny nastrój kraju Złotej Chryzantemy jest ta przedziwna solidarność, wiążąca wszystkich między sobą w uległości najstarszym z rodu, a tych znowu — najwyższemu pomazańcowi narodu, synowi nieba, „Ten-nin Sama" lub „Ten-no Hejka" — cesarzowi.

Cały naród, bez różnicy wyznania (212.000 chrześcijan żyje w najzupełniejszej zgodzie z 48 miljonami buddystów i 16 miljonami sintoistów, nie licząc pokaźnej liczby konfucjonistów i taostów) — wszyscy synowie ludu Yamato, głęboką cześć wyznają cesarzowi. Bo w czci tej pragną wyrazić, iż w hołdowaniu spójni narodowej, której najwyższym opiekunem jest Cesarz — Syn Nieba, zawarta jest cała dusza ludu, a w niej, poprzez szereg zmarłych przodków, aż do przyszłych pokoleń, wiecznie tli się święta iskra boża.



Grupa manifestantów, wyznawców Sinto, podczas obchodu ku czci powołania cesarstwa japońskiego.

Nasi przodkowie ludożercy











Ludożerstwo, o którem będzie mowa w niniejszym artykule, jest ohydną praktyką, która zachowała się w bardzo niewielu zakątkach świata, dokąd nie przeniknęło jeszcze światło cywilizacji. Lecz oto i w Europie, w Rosji Sowieckiej, którą czerwoni szaleńcy doprowadzili do najprymitywniejszego stanu, ludożerstwo i nekrofagja zostały stwierdzone, jako objaw zbiorowy, a stwierdzili to sami bolszewiccy lekarze, wysłani dla niesienia pomocy dziesiątkowanej przez głód i choroby zakaźne ludności (d-rzy: Wasilewskij, Georgiewskij, Kogan, Gałagan i inni — którzy przy sposobności (!) poczynili nadzwyczaj ciekawe studja o psychologji ludożerców), stwierdziła również prasa sowiecka — „Prawda", „Naucznaja Myśl", „Krasnaja Gazieta".

Nauka nie stwierdziła dotychczas, aby jakikolwiek gatunek małp pożerał swe młode lub swoich współbraci. Nawet w zamknięciu nie zdradzały małpy podobnych skłonności, choć, jak wiadomo, niewola wpływa na kanibalizm u zwierząt. Ujemne natomiast świadectwo musimy pod tym względem wystawić naszym przedhistorycznym przodkom, którzy, aczkolwiek najbliżej spowinowaceni z grupą małp, bynajmniej nie okazywali się jaroszami.

Grzebali swych zmarłych z wielkim pietyzmem, jak o tem świadczą najlepiej znaleziska w La Chapelle aux Saints i La Ferrasie.

W innych jednak miejscowościach, a szczególnie w Prapiwnie znaleźli antropologowie w przedhistorycznej pieczarze całkiem dziwne ślady Wśród stosu kości zwierzęcych (szczególnie niedźwiedzia jaskiniowego) leżały kości przynajmniej 10-ciu istot ludzkich (przeważnie dzieci i młodzieży. Wszystkie te kości były rozbite, przypalone i zmieszane z popiołem oraz węglem drzewnym. Obok nich leżały toporki, kamienne, za których pomocą dostawano się do smakowitego móżdżku i szpiku współbraci, aby je podpiec przy ogniu.

Przewaga kości młodocianych osobników stwierdza zarówno według prof. Gorjanovic - Krambergera, jak i prof. Matiegka, że jeszcze w czasach dyluwialnych odbywały się uczty ludożerców.

Te same upodobania wykazywali i kanibalowie z XIX stulecia, dla których mięso dzieci i kobiet, a przedewszystkiem szpik i mózg, były największym przysmakiem. To samo zaobserwował i słynny prof. Virchow u człowieka z Neandert-hal'u, prof. Hrdlicka u człowieka z Rodezji, a Sir Artur Keith w Galilei. Znalazł bowiem w pewnej grocie nad jeziorem Genezareth czaszkę rozbitą w celu spożycia mózgu.

Poruszamy się jednak tylko w dziedzinie przypuszczeń, jeśli chodzi o to, czy ludzie spożywani zarówni ze zwierzyną byli współplemieńcami, czy też wziętymi do niewoli wrogami. Nie można również stwierdzić, czy osoby pożarte zginęły gwałtowną śmiercią, czy też spożyto je po śmierci naturalnej. U dzisiejszych bowiem plemion pierwotnych, pożarcie czasem zastępuje pogrzeb lub jest częścią obrzędu religijnego. W każdym razie nie brak mięsa był przyczyną ludożerstwa naszych przodków. Świadczą o tem chociażby owe olbrzymie stosy przypalonych i rozbitych kości zwierzęcych. Mięso ludzkie uważano prawdopodobnie za specjalny smakołyk. Również o sposobie przyrządzania nic nam nie wiadomo, można tylko sądzić przez analogję, opierając się na obserwacji dzisiejszych ludożerców, że mięso ludzkie spożywano w trojaki sposób... Pozwalano mu gnić i pożerano na surowo, gotowano na świeżo lub pozwalano mu skruszeć i pieczono.

Dziś coprawda trudno już stwierdzić bezpośrednio ową ohydę, ponieważ w miarę postępu cywilizacji ludorżestwo zanika. Uprawiają je tylko potajemnie niektóre dzikusy, unikające kontaktu z białym człowiekiem. Jeśli bowiem chodzi o proces w Koszycach, to orzeczenie sądowe nie stwierdziło bynajmniej, aby czechosłowaccy cyganie byli kanibalami.

Dr. E. S.



U dołu — Wykopaliska w Grasberg (dolna Austrja).

Starożytne urny i naczynia wykopane w Grasberg (u góry).

Ksiądz dobrodziej



Dom w Tuszynie pod Łodzią, ofiarowany Tow. literatów i dziennikarzy przez ks. Gogolewskiego.

Brać literacka na świecie, jeżeli chodzi o zasoby materjalne, jest przeważnie chuda, o ile który nie uchwyci przypadkiem nagrody Nobla albo, jak Remarque, nie rzuci w świat takiego pocisku, który przewierci odrazu skorupę obojętności ludzkiej. Przeważnie jednak uznanie „z latami przychodzi", co ma wprawdzie i swoje dobre strony, ale ma i złe. Na co komu syte jadło, kiedy mu brak zębów, aby je zgryść? — Tak przynajmniej powiada mądrość ludowa.

W Polsce literatom gorzej się dzieje, niż gdziekolwiek, zwłaszcza obecnie. Naród jest twardy, kiedy chodzi o książkę. No — i biedny, jeżeli mowa o zasobach. Bierze się ta literatura z biedą za bary, jak może. Stąd nigdzie, jak w Polsce, niema ściślejszego połączenia między światem literackim i dziennikarskim. Te same nazwiska, które spotykamy na okładkach książek, widzimy na łamach pism. Dlatego Towarzystwo literatów i dziennikarzy, gdzieindziej może nie do pomyślenia, wobec odrębności interesów, u nas prosperuje, rozwija się, a nawet pomnaża swoje mienie.

Pomnaża? — a więc tak źle nie jest... Nieprawda: jest źle, ale są i dobrzy ludzie na świecie.

Ksiądz Józef Gogolewski jest niepospolitym typem człowieka o gorącem sercu i skłonności do czynu. Gdyby go to serce gorące nie zawiodło na ławę seminaryjną, byłby na każdem innem polu wybił się na czoło otoczenia. Dość popatrzeć na tę silnie narysowaną postać o płomiennych oczach, o lwiej głowie, głowie przywódcy, aby widzieć, że życie jego nie mogło iść powszednią ścieżką. Jakoż ten prefekt szkół w Łodzi, nauczyciel młodzieży, czuje w sobie powołanie do szerszych celów. Jedzie do Ameryki pracować nad rzeszami wychodźców. Przebywa tam lat kilkanaście, w tem i lata wojny światowej. Głos jego zapala do czynu, szeregom polskim przysparza ochotników. Bije godzina niepodległości ojczyzny. Od rozległości granic zależna będzie moc państwowa Polski. Ks. Gogolewski, który kilkanaście razy przebywał ocean, wioząc żołnierskie oddziały, staje do pracy w szeregu. Terenem jego działania staje się Warmja. Walczy o polskość niemczonego przez tyle lat ludu i niejedną duszę dla Polski zdobywa. Wreszcie osiada w wolnej ojczyźnie. W rodzinnym swoim Tuszynie pod Łodzią, tam, gdzie się urodził również Reymont, towarzysz jego zabaw dziecięcych, na gruncie, należącym do staruszka-ojca, do dziś dnia żyjącego p. Wawrzyna Gogolewskiego, wznosi sobie i najbliższym dom, ciche *asylum* kapłańskie. Nie przerywa jednak pracy pasterskiej. Nadal kształci młodzież szkolną, jako prefekt.

I wtedy postanawia uwieńczyć dzieło swego życia jeszcze jednym pięknym czynem. Nie stać literatów polskich na własne domy — ja im dom na własność dam. Nie mają gdzie jeździć na wypoczynek — niechże Tuszyn przysparza im sił do pracy.

Ks. Gogolewski nie zwykł jest postanowień swoich odkładać na dalszą metę. Zamaszystość szczerze polska i zmysł realny, pomnożony w Ameryce, splotły się w nim w jedno. Za zamiarem przyszedł niezwłocznie czyn.

I oto w sobotę 1-go marca r. b. telefon mój przyniósł mi komendę z zarządu Towarzystwa literatów i dziennikarzy: jechać jutro do Tuszyna, asystować przy akcie notarjalnym, którym „ksiądz-dobrodziej" przekazuje swój dom polskim literatom.

— Kto jedzie?

— Z zarządu — zawsze czynna i niestrudzona p. Lucyna Kotarbińska oraz pp. Stanisław Jarkowski i mec. Józef Śliwowski. Ponadto obiecało się jeszcze kilka osób...

Jakże nie pojechać, kiedy taka okazja!

Nazajutrz, o 7-ej rano, przy kasie dworca głównego spotyka się gromadka literacka. Prócz wyżej wymienionych, jadą pp. Adolf Nowaczyński, Janusz Makarczyk, Władysław Zyglarski, Witold Łaszczyński, Stanisław Ossorya-Brochocki i niżej podpisany.

Panuje powszechne przekonanie, że gdzie się zbiorą literaci, tam rozmowa buja w obłokach. Nic fałszywszego. Ściany naszego wagonu słyszą zupełnie poważną i praktyczną rozmowę o sprawach zawodowych. Dostaje się, oczywiście, wydawcom (niech nam to wybaczą — rozbieżność interesów!). Makarczyk opowiada coś — niecoś o pobycie w Stanach i panujących tam stosunkach. Nie zawadzi posłuchać, aby zawczasu dostroić się do *genius loci*, którego spodziewamy się w Tuszynie. Tylko ci, którzy już znają „księdza-dobrodzieja", kręcą głowami.

— Nie... Ksiądz Gogolewski się nie zjankesił w Ameryce. Ten człowiek jest zawsze sobą...

Łódź. Potem dwadzieścia kilometrów po szosie w kierunku Piotrkowa. Jedziemy samochodami dla pośpiechu, choć jest wspaniała komunikacja kolejką elektryczną, która podwiozłaby nas pod sam dom w Tuszynie. Nie trzeba nam mieć za złe: ciekawości, pośpiechu i chęci, aby na nas nie czekano.



Delegaci Tow. literatów i dziennikarzy u ks. Gogolewskiego w Tuszynie. Pośrodku „ksiądz-dobrodziej".

W czystem miasteczku Tuszynie dom ks. Gogolewskiego rzuca się w oczy. Ładny piętrowy budynek z 1½-morgowym sadem. Wśród kolumienek ganku — wyniosła postać gospodarza. Obok — jego najbliżsi.

Po prezentacji przystępujemy odrazu *ad rem*, aby wykonać najprzód obowiązek. P. rejent Jarzębski z Łodzi odczytuje

(Dokończenie na str. 16-ej.)

EDWARD SZYMAŃSKI

Sen na obstalunek

Jeżeli przyjmiemy, że przeciętny wiek człowieka wynosi sześćdziesiąt lat, to okaże się, że na właściwe życie zostaje zaledwie czterdzieści: przesypiamy bowiem ni mniej, ni więcej, tylko trzecią część życia. Byłoby dobrze, gdyby sen był zawsze wypoczynkiem, stanem, w którym dusza i wyobraźnia nie pracują, znajdują wytchnienie w bezczynności. Ale ileż to razy budzimy się, zlani siódmym potem, znękani strachem tak silnym, że na jawie nigdy go doświadczyć nie można, ścigani przez upiory, dzikie zwierzęta, albo przez teściowe (żonaci). I nieraz dopiero w najcięższym momencie gdy za chwilę już miało się stać coś okropnego — ockniemy się z uczuciem wielkiej ulgi, przewracamy się na drugi bok i zasypiamy twardo. Innym razem przecie może nam się przyśnić coś radosnego, jakiś byt w krainie baśni, gdzie spotykamy wspaniałe kwiaty, jakich nie znajdzie się na ziemi, gdzie ziszczają się nasze najśmielsze marzenia, gdzie starym wraca młodość, a młodym urastają skrzydła. Nieraz wprost żal się budzić. Chciałoby się spać dalej i śnić, i śnić...

Sen, brat śmierci, jest bowiem prawdziwym czarodziejem. I jeżeli wiedźmy średniowieczne zjeżdżały się na szczyt Brokenu na ożogach i miotłach, aby odprawiać sabbaty swoje—to zjeżdżały się naprawdę, ale we śnie. Odurzały się wywarem z ziół aromatycznych, przeważnie z l u l k u, popadały w stan odrętwienia sennego i wtedy znikały dla nich granice możliwości czasu i przestrzeni. Zresztą i klientów swoich częstowały tym specyfikiem za grube pieniądze. Wtedy uśpiony człowiek, wędrując po krainie snu i marzenia, szybował ponad domami i polami, oglądał dalekie kraje i dalekie czasy, i wcale nie potrzebował rakietowego pocisku doktora Obertha, aby dostać się na księżyc. Tylko sprowadzanie snu na zamówienie było u nas rzadkością i robiono wszystko po dyletancku, podczas gdy w Chinach sztuczne wywoływanie marzeń jest rzeczą bardzo popularną, posiada tradycję i setki tysięcy zwolenników. Mówimy tu o opjum, którego zużywają Chińczycy 18 miljonów kilogramów rocznie, podczas gdy reszta świata (dla celów medycznych) konsumuje zaledwie 100.000 klg. To też spelunki, zwane palarniami opium, są w krainie żółtego smoka prawie tak częste, jak u nas — restauracje. Kiedy tam wejdzie ktoś po raz pierwszy, z trudem orjentuje się w półmroku, panującym w kątach pokoju, gdzie porozkładane są maty, przygotowane dla stałych gości. Dopiero po chwili można zauważyć na każdej macie siedzącego w odrętwieniu człowieka, obok którego na malutkim stoliku leży wystygła fajka, z której przed kilkoma nieraz godzinami ssał truciznę, przynoszącą zapomnienie i rozkoszne marzenia. Kiedy dla usunięcia przykrego nastroju i wzniecenia sztucznej wesołości wystarczy normalnemu człowiekowi 1/100 grama opium, nałogowy chiński palacz tego narkotyku potrzebuje o wiele więcej. Pragnie on bowiem osiągnąć trzy stopnie odurzenia, a mianowicie: 1) zapomnienie o przeszłości, 2) wzgardzenie teraźniejszością i 3) obojętność względem przyszłości. W ten sposób, zdobywszy pewną doskonałość, ma pole do ulatywania na skrzydłach marzeń w dziedzinę rozkoszy, jakiej w normalnem życiu nigdy nie dozna. Komuś, kto ani razu nie użył opium albo haszyszu, mówić o skutkach jakie wywołuje doraźnie i na dalszą metę — byłoby to prawić ślepemu o kolorach. Nie mamy też zamiaru analizować nałogu, ani jego przedmiotu, pragniemy tylko zająć się tu kwestją chemicznego oddziaływania poszczególnych substancyj na jakość snu, oddziaływania, zaobserwowanego naukowo i ujętego w pewną statystykę. Jeden z niemieckich lekarzy, dr. Emil Lenk, obserwował w swej klinice wynik eksperymentów, dokonywanych na 420 osobach, i trzeba przyznać, że nietylko z wielkim pietyzmem wziął się do usystematyzowania tej pracy, ale w dziedzinie tej doszedł do bardzo ciekawych wniosków, które zilustrujemy tu na przykładach. Badania swe przeprowadzał w ten sposób, że wczesnym rankiem zbliżał się do śpiącego pacjenta i przez określony czas trzymał w bezpośredniej bliskości jego nosa odrobinę waty, zwilżonej jakąś substancją chemiczną, a po obudzeniu się rekonwalescenta (gdyż tych poddawał badaniu), pytał szczegółowo, co mu się śniło — i odpowiednio notował. Okazało się przedewszystkiem, że wystarczy półminutowe działanie medykamentu, aby otrzymać charakterystyczny dla niego skutek. Następnie jeżeli dawka była zbyt słaba, sen był niewyraźny, jeśli zbyt silna, śpiący budził się natychmiast. Pozatem godny uwagi jest fakt, że kobiety lepiej i mocniej reagują na podobny eksperyment, niż mężczyźni. Procentowo wyraża się to stosunkiem 63 do 37. Teraz co do proporcji, jaka zachodzi między rodzajem chemikaljów, a rodzajem snu, to zauważyć należy, że opium, eter i częściowo chloroform powodują sen, połączony z uczuciem przyjemności, zadowolenia, spełnienia pragnień, natomiast chlor, amoniak, roczczyn siarki i karbol wywołują sen nieprzyjemny, czasem nawet okropny, lub obrzydliwy. Zawsze jednak w takich sennych rojeniach odgrywa śpiący główną rolę, doznaje różnych przeżyć, związanych z jego dzieciństwem, chorobą, lub ważniejszemi kolejami życia. Tak np. 21-letnia niezamożna panienka, której dano we śnie do wąchania jednoprocentowy rozczyn wanilji, wstydziła się w początku opowiedzieć swój sen. Wreszcie przyznała się, że śnił się jej pobyt z ukochanym na rozległej łące, pokrytej orchidejami. Z nieba padał gęsty deszcz drobniutkich złotych monet, na łące, prócz nich, nie było nikogo i do nich należały wszystkie te niezmierne skarby. Kiedy jednak następnego ranka zaaplikowano jej do wąchania jednoprocentowy amoniak, wydawało się jej, że znajduje się w zamkniętej skrzyni i czuje, jak z każdą chwilą coraz bardziej brak jej powietrza.

Inny, ale podobny rodzaj snu na zamówienie otrzymujemy, jeżeli osoba, na której eksperymentujemy, popadnie w sen hypnotyczny. Tak np. nieżyjący już badacz tej dziedziny snu dr. Karol Schrötter zasuggerował jednego ze swych znajomych, że odczuwa ból zębów i lekkie parcie na pęcherz. Śniło się biedakowi, że był t. zw. „Wattschemannem". Jest to popularny w kołach niewybrednych sportsmenów automat, który bije się w skórzaną twarz, a umieszczona wyżej wskazówka unaocznia cyfrowo siłę uderzenia. „Potem, opowiada zahypnotyzowany, pojechałem z kolegą do baru, gdzie wypiliśmy ogromną ilość piwa". Znalazły więc tu swoje odbicie obie strony suggestji. Ale doświadczenia Schröttera nie mogą z natury rzeczy podać intensywności snu i jego ilościowości. Dlatego też poprzednio wymieniony dr. Lenk, używał przy swych doświadczeniach innych jeszcze czynników. Naprzykład oświetlał śpiącego lampą z różnych odległości, a budzik, przerywający sen, ustawiał również bliżej, lub dalej. Oprócz tego kładł na głowę bohaterom eksperymentu niewielkie odważniki. Zauważył przytem, że podobne komplikacje czynników, oddziaływających na sen skutkują identycznie i względem uśpionych przez hypnotyzera. Tak więc „tykanie" budzika, oddalonego od śpiącego o 1 metr, wywołuje w nim wrażenie miłej rytmiki marszu, czy orkiestry, a zbliżenie zegara do 20 centymetrów, odczuwa śpiący jako szybko po sobie następujące eksplozje, czy uderzenia piorunów. 20-gramowy odważnik położony na skroni, fabrykuje wrażenie przytulenia się przez sen ukochanej osoby, a ciężar 2-kilogramowy wywołuje w śpiącym przekonanie, że ktoś wali go mocno twardą pałką w głowę. Jednoprocentowy roztwór wanilji sprowadza przyjemny sen o bardzo szczęśliwych chwilach, np. o czasach dzieciństwa, z okresu objadania się łakociami, a dwukrotnie silniejsza dawka amoniaku wprowadza śpiącego w niebylejaki ambaras: zdaje mu się, że wpadł do kloaki. To samo zresztą podrażnienie zmysłu węchu zależy od odporności organizmu i wywołuje lub zmniejszy. Naprzykład jednoprocentowy roztwór amoniaku może sprowadzić również sen różne zupełnie skutki, jeżeli dawkę zwiększy się o spadnięciu z drzewa, a już pięcioprocentowy coś bardziej tragicznego: śmierć rodziców, kalectwo śpiącego i t. d.

Jeżeli się chce być we śnie młodym, kochanym i szczęśliwym, nie potrzeba używać opium ani haszyszu — wystarczy oddychać mile pachnącemi substancjami. Kiedy zaś chcemy przez sen odczuwać uderzenia, martwić się i cierpieć, można z gwarantowanym skutkiem oddychać wonią, nieprzyjemną na jawie. W ten sposób jesteśmy w stanie zwiększać nasze szczęście i nieszczęście, nosić je poprostu przy sobie we flakoniku. A jeżeli możemy jeszcze poprosić kogoś, aby nam kładł na czoło różne ciężarki, zmieniał je, grał na czemś różne melodje — jesteśmy już szczęśliwi i nieszczęśliwi przez spory szmat życia i naprawdę z własnej woli. Naturalnie jakość śnień zależy i od innych czynników, jak temperament, wiek, inteligencja ale zasadniczo sprawa jest dość jasna. Oczekuje tylko na sumiennych badaczy i mam wrażenie, że chętnych znajdzie wielu.

MALARSTWO WSPÓŁCZESNE W KARYKATURZE



Henri Matisse posłał sobie łóżko i usiłuje się w niem położyć.



Pablo Picasso przeszedł sam siebie.



Paul Gauguin w Tahiti.



Edouard Manet w arcyspodniach współczesnych (i epoki Goya).



Auguste Renoir coraz bardzie rozsprzestrzenia się.

SZKUTRY NA MORZE!..

Minęły miesiące zimowe, okres burz na morzach Północy i bezczynnego spokoju dla rybaków na lądzie...

Poczyniono ostatnie przygotowania. Szkutry odnowiono. Kasztele odmalowano na świeżo.

Rybacy ściągnęli do Saint-Malo, gdzie jak co roku, od wieków odbędzie się wzruszająca ceremonja religijna — poświęcenia szkutrów, które odpłyną na dalekie wody Północy, na połów sztokfisza.

I podobnie, jak co roku o tej porze, ściągają do cichej zazwyczaj mieściny portowej tysiączne tłumy, pragnących wziąć udział w tej ur czystości, powszechnie znanej we Francji pod nazwą: *le Pardon des Terre-Neuvas...*

Tłumy wiernych cisną się w katedrze, gdzie biskup w asyście licznego kleru odprawia uroczyste nabożeństwo, poczem przy dźwięku dzwonów rusza procesja ku portowi, a arcypasterz z pokładu jednego ze statków szerokim gestem błogosławi skupione dookoła szkutry.

Chwila niezmiernie podniosła. Najstarsi nawet rybacy nie mogą oprzeć się wzruszeniu, bo wiedzą, iż płynąc w bezkres mórz będą narażeni na niejedno niebezpieczeństwo. Tu i owdzie słuchać szloch, a żarliwe słowa modlitwy wznoszą się ku niebiosom, z błaganiem o opiekę nad odpływającymi wilkami.

Jeszcze jedna uroczystość — rozdania przez władze medali zasłużonym marynarzom za ratowanie tonących.



Ksiądz Biskup Charost błogosławi szkutry rybackie w St. Malo.

Tłumy zwolna się rozchodzą. Rybacy snują się po mieście. Czynią ostatnie zakupy, w czem dopomagają im niewiasty, targując się zawzięcie o cenę ciepłej odzieży lub wysokich butów po same biodra, z blaszanem okuciem na przodach. Inni znów, przed rozstaniem z lądem, raczą się obficie w oberżach, opowiadając przedziwne historje, jak przystało na rybaków i myśliwych, o swoich wyczynach.

A popołudniu, gdy już niejeden (i niejedna) mocno „mają w czubie" rozpoczyna się zabawa ludowa, huczna i swawolna — ostatnia chwila beztroski przed ciężkim żywotem, który będą pędzić przez szereg miesięcy.

I tak samo co roku, od wieków odbywa się *le Pardon des Terre-Neuvas...*

Uoczystość rozdania medali za ratowanie tonących w St. Malo.

KARTKI SĄDOWE.

PECH

Tysiąc tomów.

Nie każdy coprawda pech doprowadza do sądu, bo w takim wypadku musielibyśmy na stałe przeprowadzić się do tej pożytecznej instytucji i tylko od czasu do czasu wyzierać z niej na światło dzienne, wypadać na chwilę do biur, chodzić do kina w przerwie pomiędzy przemówieniem obrońcy — pisać artykuł...

Pechy dzielą się na większe i mniejsze; najwięksi pechowcy patrzyliby smętnie na wózki z dziećmi w ogrodzie Krasińskich z okien Sądu Najwyższego, najmniejsi uśmiechaliby się złośliwie, wędrując po sądach grodzkich.

W klasyfikacji powyżej przyjętej nasz pechowiec, inaczej mówiąc — pan Anatol Strychulec, właściciel składu żelaziwa zajmuje miejsce pośrednie.

Na pierwszy rzut oka, wtajemniczony rozpozna przynależność do pechowego bractwa.

Jakieś niepewne spojrzenie, trochę z podełba, jakieś nieopanowane dostatecznie ruchy, ni w pięć, ni w dziewięć: to łokieć, to dłoń wyskoczy; złośliwe ustosunkowanie się przedmiotów do niego: krzesło samo się przewraca, podłoga zbyt głośno trzeszczy, kartki z notatnika wypadają i gubią się pod stołem, stalówka się łamie.

Występuje w sprawie niniejszej, jako pozwany w procesie cywilnym.

To tylko kwestja przypadku — jakiegoś szczęśliwego pecha (bo i taki się czasem zdarza), że nie zasiada na ławie oskarżonych w procesie karnym...

Zaczęło się tak:

Pan Anatol Strychulec, poszukując odpowiedniego pomieszczenia na skład dla swego żelaziwa, upodobał sobie pierwsze piętro dawniej pięknej kamienicy w śródmieściu.

Powiedziałby kto, że na skład żelaziwa nadaje się raczej suterena, piwnica, cóż — kiedy Mr. Pech miał fantazję i polot.

Tak, czy owak — kontrakt z właścicielem domu został spisany i oto pewnego pięknego poranku załadowywać począł pan Strychulec przedmioty swego handlu do owego nadobnego lokalu, położonego na pierwszem piętrze, pewnej pięknej kamienicy w śródmieściu.

Oko pańskie konia tuczy — powiada przysłowie.

Tonna za tonną wpływała do nadobnego lokalu na pierwszem piętrze.

„Ziarnko do ziarnka, uzbiera się miarka" — powiada inne przysłowie.

I teraz jeszcze jedno przysłowie: „Póty dzban wodę nosi, dopóki się... — podłoga nie załamie"...

I właśnie — załamała się...

— Rety! — wrzasnął pan Strychulec — Rety! — zawtórowali subjekci. — Rety! — odpowiedział głuchy łoskot spadających tonn i brzękliwy oddźwięk tłuczonych przedmiotów z parteru.

Stanął pan Strychulec nad otworem w podłodze, ręce załamał, skamieniał z bólu.

Ale wnet oprzytomniał.

Lotem błyskawicy znalazł się na parterze.

I oto.. Nie! Dotąd to był brak obliczenia, lekkomyślność, przypadek, nieszczęście — teraz to był pech.

Oto poprostu — na parterze znajdował się... skład luster.

I już.

Ani słowa więcej.

Bronił się pan Strychulec przed sądem — jak lew.

Nic nie pomogło.

I sufit był dobry, wytrzymały, mocny, i belki zdrowe... pech, pech i nic więcej.

Zasądzili od pana Strychulca na rzecz gospodarza domu parę secisków, zasądzili od pana Strychulca na rzecz właściciela składu luster parę tysiączków -

I tylko woźny — filozof pocieszał biedaka: Nie martw się pan, coby to było, gdyby pański skład znajdował się na piątem piętrze?...

Pokiwał głową pechowiec i odszedł bez słowa.

A, jadąc do domu, pomylił się i wsiadł w „Z" w przeciwnym kierunku. Też pech... *I. E.*

JACK TENESSEE.

Tajemniczy szafir

Przekład autoryzowany J. Krasuckiej.

„Czy ten szafir prawdziwy?" zapytał.

„Nie mam pojęcia", odparła z lękliwym uśmiechem.

Młoda, piękna węgierka o jasnej cerze i dużych błękitnych oczach, ubrana była skromnie, lecz elegancko. Przyszła do jednego z nowojorskich jubilerów, ofiarując mu oryginalny klejnot; był to naszyjnik, duży, granatowy kamień otoczony djamentami. Specjalnie niezwykły okaz stanowiła inkrustowana srebrna oprawa. Jubiler zdradzał wielkie zainteresowanie.

„Jak dawno ma to pani?" indagował.

„Zaledwie pięć miesięcy", rzekła, „ale w rodzinie mej naszyjnik ten był oddawna. Jest już bardzo stary".

„Tak, to prawda", — oglądał go teraz przez powiększające szkło. „Djamenty napewno są prawdziwe, oprawa również, stara robota florencka".

„Tak, tak. Okaz wyjątkowo ładny", dodała z zapałem.

„Wartość zależna jest od samego szafira", ciągnął dalej. „Jest to największy szafir, jaki widziałem w ciągu lat ostatnich i byłby wart sporo, gdyby był prawdziwy. Twierdzi pani, że nic mi pani o nim nie może powiedzieć?"

„Wiem tylko", szepnęła, „że jedni uważali go za prawdziwy, inni znów twierdzili, że to imitacja".

„Czy mogłaby pani przedstawić dowód, że klejnot ten należy do niej?"

„Tak — tak, mam tu dokument". Położyła przed nim zaświadczenie z Budapesztu, podpisane przez amerykańskiego konsula. Przeczytał papier uważnie, poczem spojrzał głęboko w błękitne jej oczy.

„Pragnie pani to sprzedać z powodu braku pieniędzy, nieprawdaż?"

„Tak", odparła miękkim głosem, „cały mój pobyt w Ameryce zależny jest od wartości tego szafira".

Uśmiechnął się przyjaźnie.

„Proszę się nie obawiać", rzekł. „Jeżeli szafir byłby nawet imitacją, to i tak przedstawia dość dużą wartość. Może mi pani zechce go zostawić na tydzień, abym mógł naradzić się z fachowcami".

W ciągu następnych kilku dni biegał z szafirem po wszystkich większych magazynach jubilerskich na Fifth Avenue i Maiden Lane. Niektórzy rzeczoznawcy uważali, że kamień jest prawdziwy, inni znów upierali się, że imitacja. Wreszcie tajemniczy szafir znalazł się u najsłynniejszego nowojorskiego znawcy drogich kamieni. Po trzydniowej ustawicznej obserwacji znawca zaintrygowany był bardziej jeszcze. Pewien był, że srebrna oprawa pochodziła z piętnastego wieku z Florencji, a w owych czasach florentczycy nie byli świetnymi znawcami drogich kamieni. Po kilku dniach wreszcie szafir powędrował zpowrotem do pierwszego jubilera, a gdy młoda węgierka zjawiła się nazajutrz, powtórzył jej on podzielone zdania rzeczoznawców co do drogocennego klejnotu.

Widząc, ile kłopotu sprawiła poczciwemu jubilerowi i chcąc pogłębić jego zainteresowanie szafirem, postanowiła opowiedzieć niedługą historyjkę, związaną ściśle z pochodzeniem tajemniczego kamienia.

„Dostałam go w tym roku", zaczęła, „od starej niańki na kilka dni przed opuszczeniem rodzinnego domu. Ciężkie czasy nastały po wojnie. Ojciec mój i bracia padli, a matka też niedawno umarła. Pozostawszy zupełnie sama, postanowiłam opuścić rodzinny nasz zamek i wyjechać do New-Yorku, gdzie mieszka garstka moich przyjaciół. Niestety byłam bardzo biedna. Nazajutrz po śmierci mej matki, stara niańka Shari przyniosła mi szafir; nigdy nie widziałam go dotychczas".

„Niegdyś należał on do twojej babki", rzekła. „Powierzono mi go przed wielu laty w chwili gdy wielkie nieszczęście nawiedziło ten dom. Obecnie klejnot ten może ci ułatwić życie w Ameryce.

„Siedziałyśmy dość długo obydwie w mrocznej komnacie, w której paliły się tylko dwie świece, bowiem do lampy zabrakło nam nafty. Shari opowiadała mi o dawnych minionych latach, kiedy to ona była jeszcze piękną, młodą dziewczyną, córką jednego z fornali w majątku mego dziadka i babka moja, księżna Marishka, dopiero co przez dziadka poślubiona wzięła ją do siebie jako garderobianą. Babka moja miała wówczas lat dziewiętnaście i była śliczną brunetką, o niezwykłym temperamencie i wielkich błękitnych oczach; według słów starej Shari, śmiechem swym księżna mogła cały świat zawojować. Dziadek mój, książę Miklos Beleky był zaledwie o pięć lat starszy od swej żony, wysoki dobrze zbudowany mężczyzna, o gęstej ciemnoblond czuprynie i poczciwych śmiejących się oczach, nie zdradzających nigdy głęboko ukrytych namiętności. Nigdy nie tęsknił za życiem miejskiem, ale ponieważ bardzo kochał swoją młodą żonę, uległ jej namowom i wyjechali obydwoje do Paryża, aby spędzić tam miodowe miesiące. Oczywiście wystawne życie w stolicy świata pochłonęło lwią część majątku młodej pary.

„Wreszcie oboje wrócili na Węgry. Zamek nasz odnowino i pięknie umeblowano na przyjęcie młodziutkiej księżnej, co również nadwyrężyło nieco kapitał obrotowy majątku; zawiadomił o tem mego dziadka stary plenipotent wkrótce po powrocie książęcej pary z Paryża. Młody książę Miklos postanowił poświęcić się odtąd pracy na roli; nie było to zresztą połączone ze specjalnem poświęceniem, bowiem dziadek mój przechował w swej duszy tradycyjne przywiązanie do rodzinnej posiadłości książąt Belekv. Czuł się nawet szczęśliwym, że był tu znowu, i wszystkie wolne chwile od przebywania w towarzystwie młodej swej żony przepędzał na siodle, bądź w polu, bądź w lesie.

„Ale samotne życie w zamku poczęło coraz bardziej nużyć młodziutką księżnę Mariskę. Z początku bawiły ją jeszcze przywiezione z Paryża toalety, ubierała je często, aby zadowolnić zakochanego w niej do szaleństwa księcia. Potem urodziła córeczkę, która znowu przez rok była główną atrakcją jej życia. A potem nastała straszliwa tęsknota za Wiedniem. Księżna pragnęła przepędzić sezon zimowy na dworze cesarskim. Dziadek mój, zapracowany od świtu do nocy, błagał ją, aby zaczekała jeszcze trochę cierpliwie, a wówczas znowu pojadą razem. Ulegając jego prośbie, postanowiła czekać jeszcze rok jeden.

„Pewnego dnia przyjechał w odwiedziny kuzyn księżnej, książę Aldar; starszy nieco od księcia Miklossa, wiecznie uśmiechnięty i wesoły. „O, — twierdziła Shari, — wszelkie radości życia koncentrowały się w tym człowieku! Jasny wyraz oczu jego harmonizował świetnie ze srebrzystym śmiechem mej pani!" Kuzyn nie odstępował księżny ani na chwilę, wówczas gdy mąż jej całe dni prawie przebywał w polu i na folwarku. Całemi dniami grał książę Aldar walce wiedeńskie, co upajało księżnę Marishkę i potęgowało tęsknotę jej za Wiedniem.

„Odwracając się ku niej na wysokim, kręconym fotelu, rozkoszny kuzyn opowiadał jej niestworzone dziwy o balach na cesarskim dworze, o przedstawieniach galowych w Operze i o szeregu miłosnych intryg, o których mówiła ostatnio cała niemal arystokracja stolicy. Wesołym błyskom, zapalającym się w jego oczach, odpowiadał srebrzysty śmiech pięknej kuzynki. Potem znowu zaczynał grać tęskne, kuszące melodje, a ona, spoglądając przez okno w mrok zapadającego wieczoru, z dreszczem lęku myślała o zbliżającej się zimie, którą miała znowu przepędzić w tem odludziu. I znowu rozpoczynały się błagania dziadka mego, aby pozwolił jej wyjechać i rozerwać się nieco; wreszcie po długich i uciążliwych prośbach książę Miklos zgodził się na wyjazd żony do Wiednia, gdzie przepędzić miała sezon zimowy. Wraz z Shari, dzieckiem i kuzynem udali się do stolicy wielkiemi saniami, zaprzężonemi w czwórkę karych rumaków. Shari ogarniał wielki niepokój, gdy patrzała na wesołe twarze tych dwojga; tylko książę Miklos przez cały czas trzydniowej podróży był dziwnie posępny i milczący.

„Zaraz po przyjeździe do Wiednia, księżna Marishka wpadła w zły humor, bowiem pałacyk jej męża wydał jej się dziwnie stary i opuszczony. Po długich i kosztownych naprawach, salony księżny napełniły się przyjaciółmi i znajomymi jej kuzyna, a ona, niby wielki, barwny motyl, uwijała się między nimi, podziwiana przez wszystkich i uwielbiana. Wkrótce więc obwołano ją królową wiedeńskich salonów, szepcząc sobie do ucha z uznaniem: „Ta piękność musi pochodzić z Budapesztu". Istotnie Budapeszt był rodzinnem miastem księżny Marishki. Pięknością swą wzbudzała zazdrość niewiast, mężczyźni zaś otaczali ją coraz liczniej, nie szczędząc głośnych pochwał i zachwytów! A ona się ciągle śmiała!

„Takiego śmiechu nigdy przedtem nie słyszano na świecie" — utrzymuje Shari.

„Gdziekolwiek udała się piękna księżna, wszędzie książę Aldar był u jej boku, a młody książę Miklos, kochając do szaleństwa swą żonę, w milczeniu szedł tuż za nimi, nie marząc nawet o tem, aby ona zechciała wyrzec się tego wszystkiego i wrócić do cichego życia w wiejskiej posiadłości. Jednakże pieniądze topniały z dnia na dzień i książę Miklos nie widział żadnego wyjścia. Miał zaledwie lat dwadzieścia pięć i na dworze cesarskim nie posiadał absolutnie żadnych stosunków. Aż pewnego razu przyszedł doń książę Aldar i rzekł z przyjaznym uśmiechem:

„Nie martw się, pozostaw to zwolennikom handlu. Pozwól pożyczyć sobie sumę, jaka ci jest potrzebna w tej chwili, i przyjmij posadę państwową".

„Dziadek mój niechętnie przystał na tę propozycję, bowiem szalenie był o kuzyna zazdrosny, lecz kochając namiętnie żonę, nie mógł odmówić jej przepędzenia sezonu zimowego w Wiedniu. „I tak już długo nie potrwa" — pocieszał sam siebie. Wziął więc pieniądze od jej kuzyna, przyjął posadę rządową i począł się przyzwyczajać do nowej swej pracy. Najbardziej denerwowało go to, że każdego wieczora zastawał księbia Aldar'a przy boku swej żony. Poza tem od współzawodniczących z księżną niewiast słyszał ciągle niewinne napozór ploteczki, co potęgowało jeszcze szaleńczą jego zazdrość.

„Shari coraz bardziej stawała się niespokojną. Wydatki wzrastały, a książę Miklos posępniał z dniem każdym; już i tak pożyczył dużo od kuzyna i odrzucił teraz ofiarowaną mu, dalszą pomoc. Żył w ciągłych troskach i zdenerwowaniu, aż wreszcie postanowił wyciągnąć trochę pieniędzy ze zdążającego do ruiny majątku. Zwrócił się do lichwiarzy.

„I wówczas właśnie — rzekła Shari, trzymając szafir nad płomieniem świecy — klejnot ten wślizgnął się w ich życie".

„Pewnego dnia, gdy księżna siedziała jeszcze przy gotowalni, zjawił się książę Aldar; serdecznie przywitał się z nią i począł prosić z pieszczotliwym uśmiechem:

„Kochana kuzyneczko, pójdź ze mną obejrzeć przecudowny klejnot, którego barwa wspaniale harmonizować będzie z kolorem twych oczu!"

„Głębokie jej spojrzenie poweselało nagle; oczywiście, przystała chętnie na propozycję kuzyna. Zabrawszy mnie z sobą do powozu, pojechali do oddalonej żydowskiej dzielnicy Wiednia. I tam księżna zobaczyła szafir w małym sklepiku z antykami. Na widok klejnotu oczy jej pociemniały, a oddech stawał się przyśpieszony coraz bardziej w miarę, jak kupiec opowiadał historję wiekowej wędrówki naszyjnika. Był on już w pałacach i suterynach, wędrował z Florencji, Rzymu, Madrytu Paryża hen daleko, aż po Petersburg; wędrówka ta trwała wieki całe i wreszcie znalazł się w Wiedniu. W międzyczasie uciążliwej wędrówki raz uznawano go za prawdziwy, to znów za imitację. Ze względu na podzielone zdania, kupiec żądał zań tylko tysiąc guldenów. Książę Aldar prosił kuzynkę, aby przyjęła od niego ten skromny upominek. Z początku broniła się w obawie przed mężem, lecz kuzyn począł śmiać się z jej obaw.

„Czyż nie jestem twoim kuzynem? — zapytał. — Czyż nie wolno mi ofiarować ci czegośkolwiek? Zresztą Otello może nie wiedzieć o tem wcale".

„Przekonana jego słowami i niezwykłym blaskiem szafira, zgodziła się na przyjęcie go w upominku, prosiła tylko kuzyna, aby nie zdradzał jej, gdy powie mężowi, że klejnot nabyła sama.

„Od tej chwili nosiła naszyjnik ciągle, a na zazdrosne spojrzenia męża odpowiadała ze śmiechem:

„Widzisz, jaka cudowna imitacja. Nabyłam ten kamień w małym sklepiku, w dzielnicy Ghetta — ach, co za wstrętna dzielnica! Chciałam poprostu zaoszczędzić twych pieniędzy, chéri. Nie bądź zły, że kupiłam imitację; zima rychło minie i znowu powrócimy do zacisznego życia w zamku".

„Gdy wspomniał coś o wydatkach, którym nie jest w stanie podołać, odparła:

„Pożycz od kuzyna, chéri, przecież on ma tyle pieniędzy. Dla niego to nic nie znaczy — odwdzięczysz mu się kiedyś. Albo lepiej sprzedaj mu ten pałac, jeśli chcesz. Będziemy mogli potem z łatwością go odkupić".

„Nietrudno było go przekonać, bowiem stał już na krawędzi przepaści. Tak więc raz jeszcze wzięto pieniądze od kuzyna i piękna księżna rzuciła się znowu w wir zabaw, bo przecież niezadługo wracać miała do wielkiego odludzia. Ile razy dostrzegła posępny cień na twarzy męża, tuliła się doń, jak dziecko, i przysięgała poprawę; za każdym razem zdobywała go nanowo. Szybko jednak zapominała o danych przyrzeczeniach; książę Aldar prowadził ją wszędzie, a wielki szafir połyskiwał na białej jej szyi. Wreszcie cały Wiedeń począł szeptać tajemniczo, że cudowny ten klejnot jest podarunkiem księcia Aldara i że nie jest wcale imitacją.

„Pogłoski te doszły wreszcie do uszu męża księżny i zazdrość jego obudziła się znowu. Od tego czasu oczy księcia rzadko spoczywały na pięknej twarzy małżonki, a tkwiły przeważnie w tajemniczym szafirze, lśniącym na jej szyi. Prawdziwy, czy imitacja? Plotki rosły. Wreszcie dziadek mój nie mógł wytrzymać dłużej. Pokryjomu zaniósł naszyjnik do słynnego jubilera, który orzekł, że szafir jest prawdziwy i przedstawia wartość dwudziestu tysięcy guldenów.

„Zazdrość w duszy dziadka zawrzała, odchodził prawie od zmysłów! Wróciwszy do pałacu, dowiedział się, że żona wyszła w towarzystwie kuzyna. Zawołał Shari, żądając, aby go zaprowadzi-

(Dokończenie na str. 16-tej.)

Co słychać na świecie

Straszna katastrofa powodzi, która dotknęła kilka departamentów na południu i poł. zachodzie Francji, zatapiając wiele miast i miasteczek, niszcząc doszczętnie domostwa i dobytek ludności oraz unosząc w nurtach wód tysiące ofiar — wywołała w całym kraju głęboką konsternację. Ze wszystkich stron napływają ofiary. Rząd przyczyni się wydatnie do pokrycia szkód, wynoszących nie mniej 100 milj. franków. Dzień 10 b. m. obchodzono w całym kraju, jako dzień żałoby narodowej. Wśród licznych dowodów odczucia tej strasznej katastrofy zanotować należy nabożeństwo żałobne, które odprawiono w polskim kościele de l'Assomption w Paryżu.

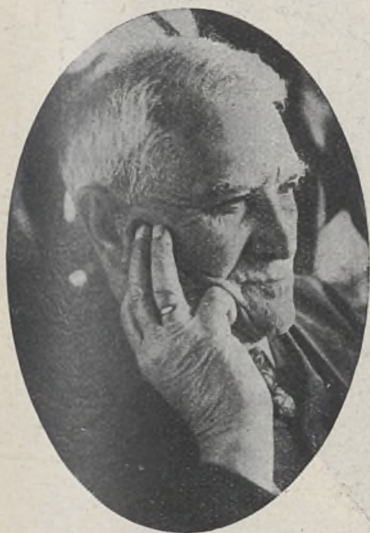
*

Konferencja morska utknęła na martwym punkcie. Wynik rokowań Brianda z Mac Donaldem i Stimsonem nie wróży szybkiego rozwiązania sprawy, a to ze względu na oporne stanowisko St. Zjednoczonych i Anglji odnośnie do projektu francuskiego o pakcie gwarancyjnym. Należy się liczyć w danym wypadku z odmową Ameryki podpisania układu, bez czego z drugiej strony Francuzi nie zgadzają się na propozycję rozbrojenia, stanowiącej, jak wiadomo, główną oś pertraktacyj. St. Zjednoczone stronią od uzgodnienia swych tendencyj politycznych z resztą świata. Do objawu tego winniśmy byli oddawna się przyzwyczaić.

„Manchester Guardian" daje ciekawe oświetlenie stanowiska Stanów Zjednoczonych. Prezydent Hoover nie jest przeciwny zawarciu konsultatywnego porozumienia na modłę paktu, zawartego na konferencji waszyngtońskiej, lecz obawia się, że senat odmówi temu ratyfikacji. Traktat taki wszelako przy poparciu opinji Hoovera przez opinję publiczną (Stimson otrzymał w tych dniach depeszę zbiorową, podpisaną przez 1200 wybitnych obywateli, domagającą się redukcji zbrojeń) może uzyskać aprobatę senatu. Opinja amerykańska wyraża przypuszczenie, iż Hoover może zapewnić powodzenie konferencji, o ile otwarcie wystąpi za polityką minimalnego współdziałania z Europą na wypadek wojny, w przeciwnym bowiem razie pertraktacje londyńskie nie doprowadzą do rezultatu.



„Para królewska" najmłodszych pływaków — 4-letnia Lucynka Hyatt i 5-letni Jimy White, na konkursie, który się rozegrał w Chicago.



Następca Liebknechta, Jerzy Ledebour, ukończył przed paroma dniami 80-ty rok życia.

*

Kolektywizacja wsi rosyjskiej przybiera dziwne i niewytłomaczone formy. Z jednej strony wieśniacy w obawie przed pałaczami GPU, tłumnie napływają do „komhozów", z drugiej strony wolą się pozbyć, choćby za najniższą cenę, indywidualnego swego dobra. Likwidują więc żywy inwentarz, pozbywają się maszyn — lecz co będzie dalej?... Dzięki rzekomemu postępowi, któremu hołdują w Sowietach, włościaństwo powróciło do dawnych form niewolniczych — pańszczyzny. Władze sowieckie, zaskoczone niezwykle szybko budzącym się ruchem w kierunku kolektywizacji, zostały ostatecznie wytrącone z równowagi. I jeśli starają się zamydlić oczy opinji światowej swemi „sukcesami", masowem zmechanizowaniem uprawy roli i t. p. — to najwięksi nawet potentaci — komunarzy — doskonale zdają sobie sprawę z trudności, w jakie wkroczono przez nieopatrzne zarządzenia. A tymczasem fala uciekinierów z Rosji kołacze coraz silniej do polskiego raju, dokąd tłumnie przekradają się przez zieloną granicę. Położenie uważać należy za nader poważne.

*

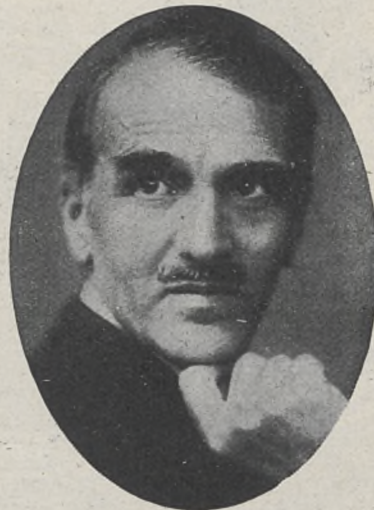
Klauzula największego uprzywilejowania postawi Niemcy na pierwszem miejscu wśród państw, importujących do Polski; Niemcy dopuszczeni zostaną do pośrednictwa handlowego na terenie Polski; niemieckie świadectwa pochodzenia doznają w Polsce zupełnego uznania; trzy niemieckie towarzystwa okrętowe otrzymają koncesję na transportowanie emigrantów polskich za Ocean, niemiecki personel techniczny i kupiecki zostanie uprawniony do osiedlania się w Polsce... Oto główne wytyczne przyszłego traktatu handlowego polsko-niemieckiego. Mało? A jednak Niemcy protestują, oskarżają min. Curtiusa o zbytnią ustępliwość, grożą nawet.

Przypatrzmy się natomiast wynikom, które otrzymaliśmy dla Polski: redukcja wysokości kontyngentów zarówno węgla, jak i nierogacizny, odstąpienie od stanowiska względem osiedlania się w naszym kraju niemieckich przemysłowców i techników (pomimo dowodów, jak fatalne to miało następstwa we Francji podczas wojny — patrz „Avant-Guerre" kapitalne dzieło L. Daudet'a), dopuszczenie nacjonalistów niemieckich do ciągnięcia olbrzymich zysków z polskiej biedoty emigracyjnej i t. d., i t. d. Mało? Nie wystarcza to wszelako Niemcom, których wzburzenie (!) uspokoić się starają zapewnieniami o tem, iż sprawy najbardziej palące (korytarz) wciąż jeszcze zostają otwarte, a wzmocnienie elementu niemieckiego w Wielkopolsce i na Pomorzu jest niezmiernie poważnym atutem pomocniczym na przyszłość. Pocieszające!...

*

Ultimatum przywódcy ruchu wszechindyjskiego Gandhiego do wicekróla lorda Irwina oraz lakoniczna odpowiedź wicekróla zaostrzyły w poważnym stopniu położenie polityczne. Zgodnie z zapowiedzią rozpoczęcia w stosownej chwili akcji przeciwangielskiej, Gandhi wydał głównej kwaterze w Ahmedabad rozkaz wymarszu kadrówki ochotników pod jego dowództwem z Ahmedabadu do oddalonego o 300 km. Jampuru. Przestrzeń ta będzie przebyta etapami po 25 km. Zaprowiantowanie oraz kwatery mają być dostarczone przez wioski leżące na szlaku demonstracyjnym.

Na czasowej nieobecności Gandhi pozostawił swoją główną kwaterę pod rozkazami... angielki, p. Madeleine Slade, córki zmarłego admirała angielskiego oraz dowódcy angielskiej wschodnio-indyjskiej eskadry morskiej. W związku z aresztowaniem brata Gandhiego, Patela, został w Ahmedabad ogłoszony strajk generalny, w którym wzięła udział cała ludność miejescowa.



W dniu 4 marca zmarł po krótkiej chorobie znakomity pianista, prof. Józef Śliwiński.



W wyniku buntu więźniów w Auburn trzech prowodyrów skazano na śmierć. Ostatnia fotografja przed egzekucją.





Małżonka prezesa Unji Paneuropejskiej, hr. Coudenhove-Kalergi, występująca na scenie pod nazwiskiem Ida Roland, towarzyszyła mężowi w podróży do Warszawy.



Filozof chiński Limps - Tha - Twa - Si - Lochi - Kiweh wędruje po Indjach, głosząc zasady nowej religji.

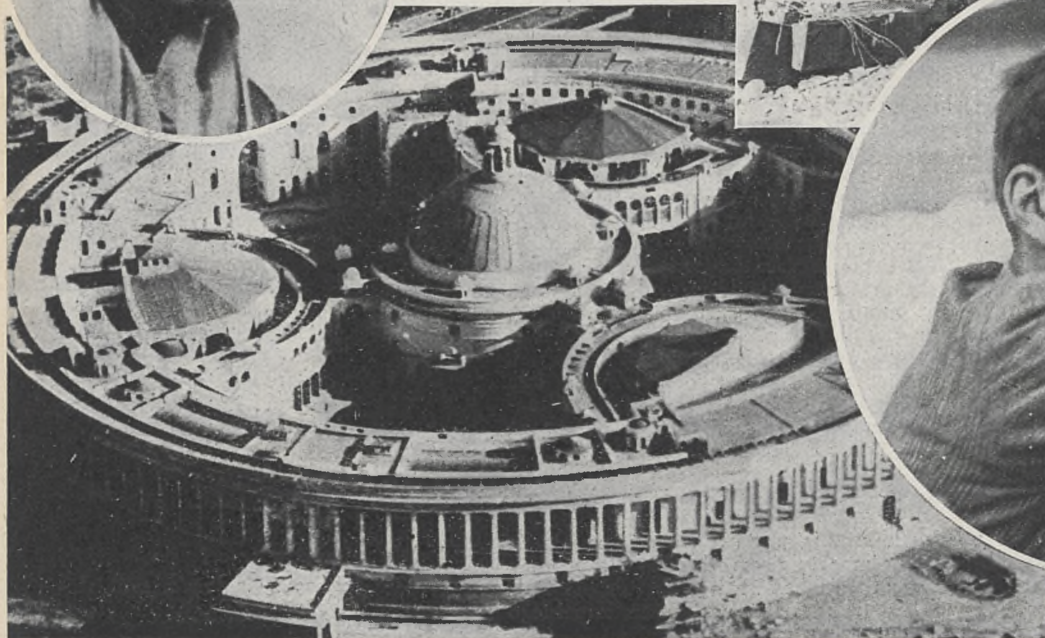


Próby zamieszek komunistycznych w dniu 6 b. m. zostały ukrócone w zarodku w całej Europie. Na fotografji widzimy wiec w Wiedniu, z którego policja „wyłuskiwała" głównych menerów





Ruch wolnościowy w Indjach przybiera coraz gwałtowniejsze tempo. Ghandi woli demonstracyjny pochód kadrówki poprzez cały kraj od jałowych dyskusyj, na gruncie parlamentu w Delhi.





Widok ulicy w Montauban, które najwięcej ucierpiało podczas straszliwej katastrofy powodzi we Francji.

Lotnik F. C. Chichester dokonał lotu z Anglji do Australji, bijąc o jeden dzień poprzedni rekord sir Alana Cobhama.



Czerwony kur komunizmu grasuje po całym świecie. Niedawno znów zanotowano straszny wypadek wysadzenia w powietrze prochowni w Atenach. Na fotografji widzimy jedną z ofiar wypadku, mjra Vassiliadis, który doznał poranienia jedynego oka, drugie bowiem postradał w podobnych okolicznościach.



Lotniczka Lena Bernstein pobiła rekord żeński najdłuższego przelotu w prostej linji na dystansie 2.268 km. Lot ten, dokonany we wrześniu r. ub. pomiędzy Istres-Sidi-Barani, został obecnie zaprotokułowany przez komisję rzeczoznawców.



Niemałą sensację wywołała afera paszportowa i handlu żywym towarem, w której wspólnikiem międzynarodowej szajki okazał się b. wicekonsul amerykański w Warszawie, Hall. Oskarżeni, których aresztowania dokonano w Ameryce, zostaną wydani sądom polskim.



Dziewiętnastoletni młodzieniec, W. H. Pritchard, zatrudniony w laboratorjum fizjologicznem przy szpitalu w Middlesex, dokonał doniosłego wynalazku, dzięki któremu można będzie zabezpieczyć kopalnie węgla przed wybuchami gazów.

Nowa placówka dziennikarska

Celem zorganizowania dziennikarzy zawodowych, pracujących w pismach, wychodzących rzadziej, niż codziennie i w ajencjach, którym względy statutowe nie pozwalają należeć do syndykatów dziennikarskich, ukonstytuowany został związek, który podejmie ponadto akcję o uchwalenie przez Sejm ustawy, regulującej stosunki prawne zawodu dziennikarskiego, któraby nie ograniczała się do otoczenia opieką prawną jedynie współpracowników pism codziennych.

Wybory do zarządu dały następujące wyniki: prezes p. J. Szyszko-Bohusz, 1-szy wice-prezes p. Ant. Bogusławski, 2-gi wice-prezes p. St. Rogoż, sekretarz p. J. Mieszkowski, skarbnik p. Jabłowska, członkowie zarządu: pp. Rafalski, Targ, ich zastępcy: p.p. J. Szurig, Junosza-Dąbrowski, Radwański i Rokicki. Prezesem sądu koleżeńskiego jest p. Ant. Bogusławski, członkami pp. Michalski, Pełczyńska, Rymaszewski i Szurig. Do komisji balotującej weszli: pp. Junosza-Dąbrowski, Osiński, Rafalski, Radwański i Targ. Do komisji rewizyjnej: p.p. Oreński, Pągowski, Roguska i jako zastępca J. Moszyński.

Człowiek, któ się nie śmieje

(fot. Metro Idwyn — Mayer)





Rok 1895.

Do miasteczka Piqua przybyła wielka trupa drownych aktorów, na której czele stała sławn okolicy rodzina Keatonów.

Rodzina ta składała się z trzech osób: ojca Jo matkį i syna Harry'ego.

Keatonowie pomieścili się w oberży, zaś dobytek został ulokowany w jednym ze znajdujących się w bliżu teatru namiotów.

Publįczność nader życzliwie przyjmowała naszych artystów, dochody wpływały punktualnie, cała trójka cieszyła się zdrowiem, dalecy więc byli od myśli by mogło cośkolwiek zamącić ich szczęście. Stało się jednak inaczej. Oto pewnej bowiem nocy miasteczko zostało nawiedzone przez straszliwy cyklon. Joe pośpieszył na ratunek swego dobytku, lecz cyklon zdążył już namiot porwać ze sobą i wszelkie usiłowania nieszczęśliwego, aby ocalić swe ruchomości, spełzły na niczem: ze szczupłego, krwawo zdobytego majątku nie pozostało śladu. Zgnębiony Joe powrócił do oberży. Tu go czekała nowa niespodzianka: podczas jego nieobecności zdążył przybyć na świat nowy potomek sławetnego rodu Keatonów! A był nim właśnie znany obecnie na całej kuli ziemskiej, Buster Keaton.

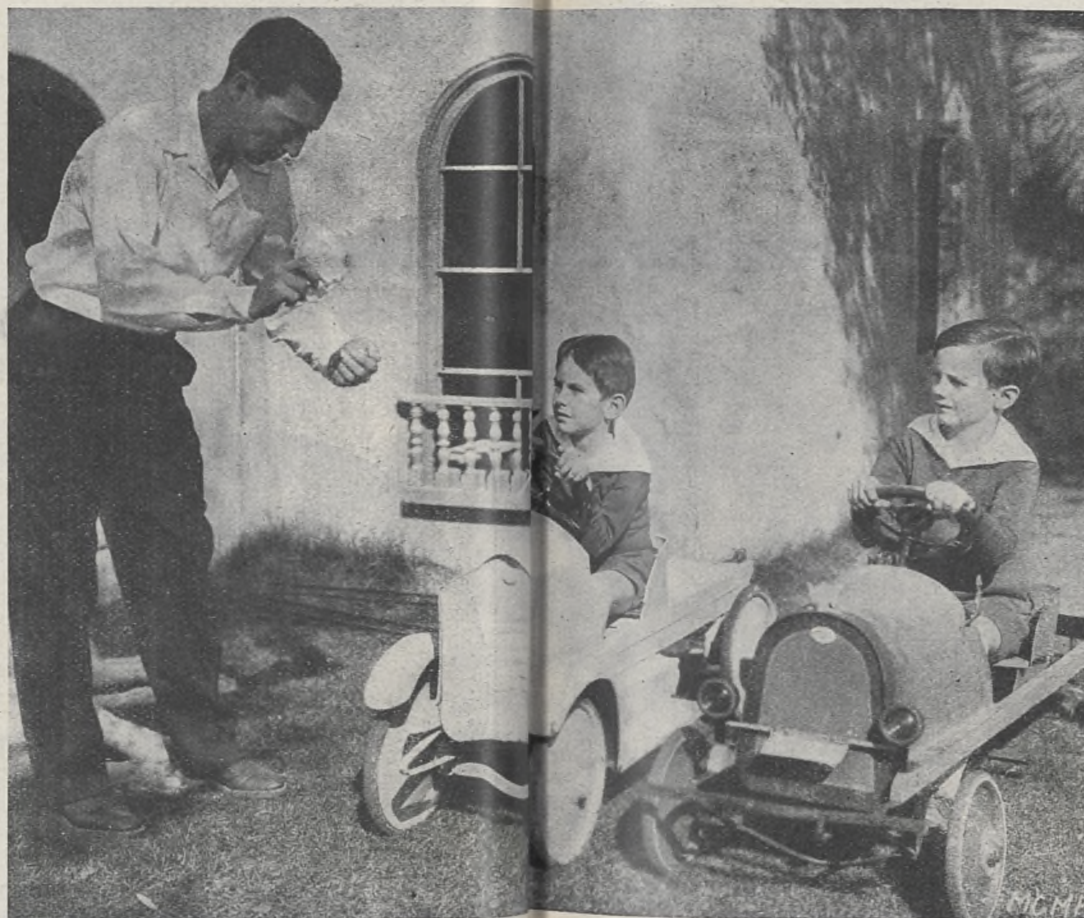
Joe szybko odzyskał równowagę. Jak przystało na praktycznego amerykanina, zrozumiał, że przyrost rodziny wyjdzie mu tylko na korzyść, albowiem Harry niebawem wstąpi do szkoły, a wtedy jego role będzie mógł objąć Buster.

Marzenia te przerwała hiobowa wieść: gmach teatru, w którym dotychczas odbywały się przedstawienia trupy, został zniszczony doszczętnie.

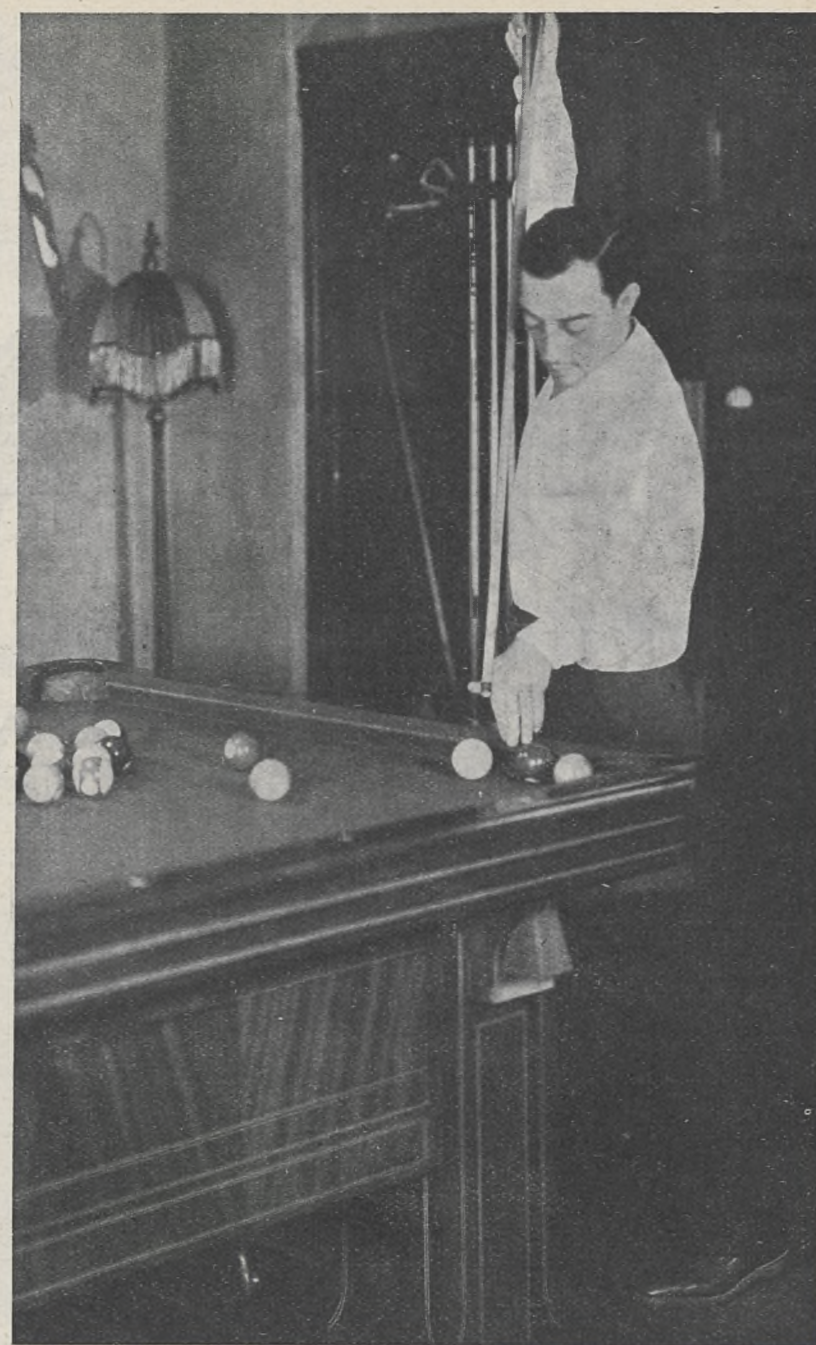
Sam burmistrz miasteczka zawiadomił Joego o tej nowej klęsce. Artysta oniemiał z rozpaczy. Burmistrz jednak na pocieszenie zaproponował mu, aby trupa zainstalowała się w sali ratuszowej. Nazajutrz po katastrofie artyści wznowili swe występy. Nie mogąc zostawić Bustera w domu bez opieki, Joe zabrał dziecko ze sobą do teatru, a gdy Keaton senjor ukazał się na scenie z juniorem na rękach, publiczność przyjęła artystę owacyjnie.

W ten sposób rozpoczęła się karjera sceniczna znakomitego komika.

Po kilkunastu latach Fatty - Grubasek dopomógł Keatonowi do zdobycia laurów w królestwie 10-ej Muzy. Fatty zobaczył go na podrzędnej scenie. Oceniając należycie talent komiczny młodego artysty, Grubasek, uzyskał dla niego engagement w wytwórni Mack Sennetta.







Buster postanowił stworzyć typ, który zdołałby na wzór Chaplina i Harolda Lloyda utrwalić się nazawsze w pamięci publiczności. Podczas gdy Chaplin słynie ze swego melonika, laseczki i dziwacznego ubioru, Harold Lloyd ze swych okularów, Keaton zdobył sławę jako człowiek, który nigdy się nie śmieje. Dzięki świetnym reżyserom, z którymi pracował, artysta szybko zdobył powodzenie i wkrótce zakupił małą wytwórnię na własność.

Do pełnego szczęścia brakowała Busterowi tylko odpowiedniej towarzyszki życia. Badawczy jego wzrok padł na Natalję Talmadge, siostrę słynnych Normy i Konstancji.

Oto jak opisuje reżyser Eddie Cline kłopoty miłosne znakomitego artysty:

„Buster siedzi na ławce w ogrodzie i obrywa listki niezapominajki.

— Co robisz, przyjacielu? — pyta Cline.

— Powiem ci szczerze: jestem zakochany.

— No i cóż tobie powiedziała nieza pominajka?

— Mówi, że „ona" mnie kocha — odrzekł ze smutkiem Buster.

— Dlaczego jesteś tak przygnębiony, czemu nie skaczesz z radości?

— Nie umiem się śmiać, lecz wierzaj mi, że nie posiadam się ze szczęścia.

— To oświadcz się jej prędzej i kwita!

— Nie mam odwagi. Przyzwyczaiłem się już dostawać odkosza. Przypomnij sobie, że we wszystkich moich filmach, w analogicznych wypadkach, wyrzucano mnie za drzwi. Obawiam się, aby życie nie spłatało mi podobnego figla. Nie mogę..."

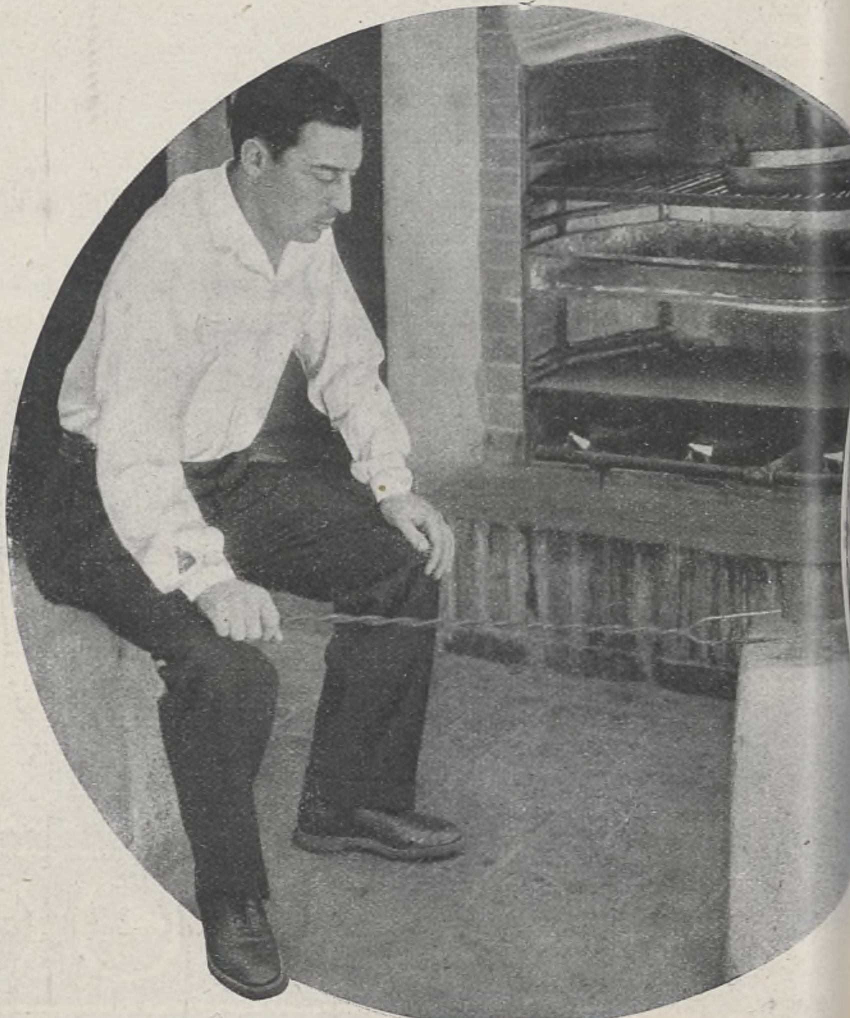
Dzięki interwencji Cline'a sprawa została załatwiona i w parę tygodni po tej rozmowie odbyło się huczne wesele Keatona. który jednak i tym razem nie rozpogodził swego smutnego oblicza.

A. L.



Siedmioletni Keaton na scenie.







Buster Keaton, człowiek, który wszystkich śmieszy, a sam nigd śmieje, w domowem zaciszu, z dziećmi i pod blaskiem jupiterów.



Keaton w wieku lat 7.


PHILIPS
RADIO



Ostatni z konkwistadorów

(zbrodnia w Cayenne)

Minęły już bezpowrotnie czasy, kiedy to śmiałkowie, uzbrojeni w niewyczerpany zapas młodzieńczej brawury, wypuszczali się w wątłych łupinach żaglowych na bezkresne morza, by szukać nieznanych lądów, bogatych w złoto, drogocenne kamienie i piękne kobiety. W mrok zapadły się romantyczne przygody wielkich odkrywców, którzy niejednokrotnie kładli swe głowy w walkach z dzikiemi i okrutnemi ludami. Dziś wszystko już zbadano, wszędzie dotarto, każdy najdrobniejszy szczegół sklasyfikowano i opatrzono uczoną nazwą: nic się nie pozostało na globie ziemskim do obejrzenia. Konkwistadorowie — zdobywcy minęli. Pozostali jedynie naukowcy, lub znudzeni spleenem bogacze, którzy z baedekerem w ręku, z jednakową obojętnością zwiedzają muzeum cesarskie w Burgu wiedeńskim, jak i meczety w dalekiem Timbuktu.



Główna oskarżona o otrucie Galmota, Adrienne Cernis.

Nic też dziwnego, że postać Jana Galmota, podróżnika-zdobywcy, miljonera i finansisty, można nazwać postacią ostatniego z konkwistadorów.

Pewnego burzliwego wieczoru — działo się to w połowie ubiegłego wieku — z przystani w La Rochelle, wypłynął niewielki żaglowiec, którego malarją, wycieńczony do ostatnich granic głodem i pragnieniem. Jak sam potem pisał w swych notatkach, był już na dobrej drodze do dotarcia do krainy złota. Droga ta była usiana szkieletami jego poprzedników, którzy umierali, trzymając w kościstych piszczelach grudki złota. Jednak zazdrosny genjusz, broniący dostępu do swej złotodajnej krainy, zwalczył i Galmota, który powrócił do Cayenne, by odpocząć i wyruszyć powtórnie. Wyprawę tę postanawia zorganizować na większą skalę. Ponieważ jednak brak mu było pieniędzy, zabiera się do pracy, by w ten sposób zdobyć odpowiednie fundusze. Zakłada fabrykę rumu. Dzięki swemu wrodzonemu sprytowi staje się wkrótce miljonerem. Nie dbając o pieniądze, rozdaje je garściami pośród ubogich miasta Cayenne. W ten sposób zdobywa sobie popularność i miłość mieszkańców całej Guyany. Wyjeżdża do Europy jako deputowany.

Powrót jego do Cayenne jest powrotem godnym triumfatora i zdobywcy. Ludność całego miasta i bliższych okolic zbiega się do portu, by powitać swojego ojca, powracającego „z podłego kraju", jakim jest Francja, która ośmieliła się podnieść „niegodną" rękę prawa na ich wybrańca.

Miarą entuzjazmu, jaki ogarnął guyańczyków na widok swego ojca może być fakt, że kiedy na drugi dzień po swym powrocie, Galmot chciał kupić róż, odpowiedziano mu, że ich nigdzie nie znajdzie, ponieważ wszystkie zerwano wczoraj na jego powitanie.



Rybak, Mathurin Coneel, oskarżony o zabójstwo radnego, Lue'a Grebela.



Radny m. Cayenne, Franciszek Matard, oskarżony o zabójstwo 2-ch osób.

właściciel i kapitan w jednej osobie, trudnił się handlem, przewożąc towary z jednego kraju do drugiego, zależnie od tego, gdzie na co był lepszy zbyt. Na pokładzie, prócz kapitana, była jego żona, dwóch synków, 15 ludzi załogi i mały chłopak okrętowy, Jan Galmot. Okręt zawijał w swej kilkuletniej podróży do niezliczonych portów, wszystkich części świata, przechodził wszystkie, możliwe w takiej podróży, przypadki i nieszczęścia, rozbijał się dwukrotnie, palił się, jednak wychodził zawsze zwycięsko i płynął dalej, w pogoni za przygodami i dobremi interesami. Nic dziwnego, że załoga wyrobiła się na ludzi tęgich, otrzaskanych ze wszystkiemi niebezpieczeństwami życia i niewolniczo nieomal posłuszna swemu patronowi. Przyszło jednak z kolei nieszczęście, któremu nie zdołano zaradzić — zaraza. Kapitan, jego żona, synowie i większość załogi padła jej pastwą. Zaledwie paru, nawpół przytomnych ludzi zdołało dobić do Cayenne, stolicy Guyany francuskiej, gdzie długo się leczyli, by móc nadal powrócić do swego, pełnego przygód życia. Jeden tylko Jan Galmot pozostaje w Cayenne. Usłyszał on o tajemniczem El Dorado, znajdującem się gdzieś w głębi kraju, do którego żaden ze śmiałków nie dotarł, a jeżeli nawet dotarł, to nie powrócił. Galmot, mając w swej krwi żyłkę dawnych Pizarrów, postanawia dotrzeć do tego wymarzonego elizeum, gdzie złoto i drogocenne kamienie można zgarniać rękoma. Wyrusza w podróż, trwającą blisko rok, z której powraca, zwalczony febrą,

Radość mieszkańców Cayenne nie trwała długo; w niecały miesiąc później, 4 sierpnia, Jan Galmot zachorował. Lekarze, którzy przybyli do jego łoża, stwierdzili symptomy zatrucia. Po dwóch dniach strasznych mąk Galmot umiera. Sekcja zwłok wykazała w żołądku ślady znacznej ilości arszeniku. Reakcja tłumu na wieść o zatruciu swego ojca była straszna. Tysiączne rzesze przebiegały miasto w poszukiwaniu domniemanych zabójców. Wszyscy przeciwnicy Galmota zostali w okrutny sposób zamordowani przez tłum, a domy i mienie ich spalono. Najlżejsze podejrzenie wystarczyło, by ktoś był zlynchowany. Miejscowe władze, bezsilne wobec sfanatyzowanych tłumów, wezwały pomocy wojskowej. Wezwany na pomoc pancernik *Anthares*, oraz transportowiec wojskowy *Basha* wysadza na ląd silne oddziały piechoty marynarki, które zaprowadzają spokój.

Policja i prokuratura nie mogąc znaleźć prawdziwych sprawców zabójstwa, sądzi na długoletnie więzienie służącą Galmota oraz ośmiu przywódców rozruchów. Winni karę odsiedzieli, wyrażając się przez cały czas z entuzjazmem i z miłością o swym niezapomnianym nigdy ojcu.

Zbrodnia w Cayenne, będąca przyczyną miejscowej rewolucji, nie zdołała jednak do dziś dnia wyjaśniona...

(h. k.).

TAJEMNICZY SZAFIR

(Dokończenie ze str. 8-ej.)

ła do owego sklepu w dzielnicy Ghetta. Z drżeniem w głosie niańka moja odmówiła. Jakże wiejska dziewczyna trafi do małego sklepiku w wielkiem mieście? Książę Miklos wybiegł do stajni, gdzie mu powiedziano, że księżna pojechała owego dnia do dzielnicy żydowskiej nie swoim powozem, lecz kuzyna.

„Wówczas książę — mówiła Shari — wrócił wolnym krokiem do pałacu, trzymając wciąż szafir w ręku. Podniósł go w górę i długo się przyglądał demonicznym jego blaskom. Dziwny jego wzrok tak przeraził dziewczynę, że padła przed nim na kolana i poczęła prosić, aby uwierzył, że kamień jest fałszywy! A potem stało się coś dziwnego!... Z przyjaznym uśmiechem podniósł książę z ziemi garderobianą swej żony, złożył na jej czole pocałunek i rzekł:

„Pamiętaj o mojej córce, Shari. Postaraj się wychować ją na wsi".

„Potem wszedł do swego pokoju, zatrzasnął drzwi i Shari nic więcej już nie słyszała. O czem rozmyślał tak długo. Może o pojedynku? Lecz honor księcia nie pozwalał mu zabijać człowieka, który był jego wierzycielem. Więc zabił siebie... Shari słyszała odgłos strzału, a gdy wzbiegła do pokoju, zastała już trupa, siedzącego przy biurku. Wielki szafir leżał przed nim, a tuż obok zabryzgana krwią ćwiartka papieru ze słowami:

„Ten kamień nie jest fałszywy".

„Tej nocy, gdy Shari opowiadała mi tę historję, w pięćdziesiąt lat po śmierci mego dziadka, zapewniała mnie ona, że szafir jednakże jest tylko imitacją, bowiem babka moja nie kłamała nigdy. Po śmierci męża, którego, jak twierdzi stara moja piastunka, kochała naprawdę, straciła swój humor i temperament i wróciła do zacisznego życia w wielkiej samotni. Poświęciła się pracy i wychowaniu córki, której posiadłość podniesioną z ruiny zostawiła. Nigdy jednak nie chciała słyszeć o tajemniczym klejnocie, który od śmierci dziadka spoczywał w kuferku Shari".

Przy końcu dziwnej swej opowieści młoda węgierka nagle urwała.

„To wszystko, co wiem — rzekła po chwili. — chciałabym tylko być pewną, czy kamień ten jest prawdziwy".

„Nie ulega dla mnie wątpliwości — odparł jubiler — że jest to imitacja. Udało mi się wszakże znaleść amatora, który za naszyjnik ofiaruje trzy tysiące dolarów. Czy panią ta kwota zadowoli?"

„O, dziękuję panu! — porwała się z miejsca. — Przecież to szalenie dużo pieniędzy! Część sumy wyślę zaraz starej Shari!"

„A najwięcej panu jestem wdzięczna zato — dodała po chwili, — że rozwiał pan wątpliwości, które mię męczyły. Niech pan mi wierzy, że nawet gdyby ofiarował mi pan za naszyjnik trzy dolary, wolałabym otrzymać trzy dolary za imitację, niż trzysta tysięcy za prawdziwe klejnoty.

Sprawa szybko została załatwioną i uszczęśliwiona Węgierka opuściła sklep.

— — — — — — — — — — — —

„I cóż miałem począć, — zakończył jubiler, który mi opowiadał tą historję, — musiałem kłamstwem przywrócić jej szacunek dla przodków. Zresztą te szafiry, jakkolwiek prawdziwe, były warte niewiele ponad trzy tysiące dolarów.

KSIĄDZ DOBRODZIEJ

(Dokończenie ze str. 4-ej.)

akt, którego mocą ks. Gogolewski i jego siostra p. Agnieszka czynią dar ze swego mienia na rzecz Towarzystwa literatów i dziennikarzy w Warszawie, zostawiając sobie na niem jedynie dożywocie. Akt został przez Ministerstwo Skarbu zwolniony od stempla.

Następują podpisy i wzrusza nas serdecznie p. Jarzębski, który odmawia przyjęcia opłaty notarjalnej. Tak to w tym dniu, literatura spotyka na każdym kroku przyjaciół.

Rozwiązują się języki. P. Stanisław Brochocki sypie kawałami, jak z rękawa. Nikt mu nadążyć nie może, mimo dobrych chęci. Ten potok wymowy przerywają przemówienia. Płomienne serce ma „ksiądz-dobrodziej", ale i płomienną, bo z serca płynącą, swadę. W kilkunastu zdaniach zamyka koleje swoje i obowiązki nasze, literackie. Pije za zdrową polską literaturę. Odpowiada mu Adolf Nowaczyński, „z wieku i urzędu" nasz *speaker*. Gdzież się podział zjadliwy ironista? — Została gorąca miłość Polski, został zapał, ale raczej mgiełką melancholji owiane jest jego przemówienie o doli i niedoli polskich pisarzy. Po nim od Towarzystwa przemawia p. Śliwowski i jeszcze inni, i jeszcze... I znowu ma głos nasz wesoły, niezrównany kompan pan Stanisław. Ani się spostrzegamy, kiedy pora odjechać, kolejką elektryczną do Łodzi, żeby późnym wieczorem znaleźć się w Warszawie.

Zabieramy fotografje i serdeczne zaproszenie, aby znów niezadługo odwiedzić naszego dobrodzieja w Tuszynie. Obiecujemy to sobie solennie. I wracamy do naszych biurek z radosnem w sercu uczuciem, że oto spędziliśmy dzień, który nam wynagrodził niejedną gorzką chwilę. Dar jest piękny, ale jeszcze droższa forma, w jakiej został dokonany.

Dlatego nie zapomnimy cię nigdy, nasz „księże-dobrodzieju"! *Antoni Bogusławski.*

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ROZWIĄZANIE ZADAŃ
(z Nr. 6).
Krzyżówka sylabowa.

		BAR	JE	RA		
	TE	KA		MA	PA	
ZA	RAZ		DO		LE	WA
WIA		KO	LA	NA		LO
DO	RO	TA		GA	LE	RY
MIE		RA	NIO	NY		ZA
NIE	BO		BE		RA	CJA
	RY	BA		KU	NA	
		BA	DY	LE		

Szarada aktualna.
SZA-ŁY KAR-NA-WA-ŁU!

ROZWIĄZANIE „ZADANIA SPOSTRZEGAWCZOŚCI" Z N-RU 5.

1. Weronika
2. Melanja.
3. Wawrzyniec.
4. Ada.
5. Izaak.
6. Agata.
7. Kleofas
8. Frania.
9. Felek.
10. Józek.
11. Wisia.
12. Ryszard.

Najwięcej wątpliwości nastręczał podział imion pomiędzy N-ry 1, 2, 6. Melanja, Weronika czy Agata? Tu ujawniła się pięta achillesowa skądinąd bardzo dowcipnego zadania. Nie w takim oczywiściło stopniu, jak np. słynna zagadka: wisi w salonie, pomalowane na zielono i piszczy, t. j. śledź. Dlaczego pomalowany na zielono? Aby trudniej było zgadnąć...

Przy bliższym jednak zbadaniu okazuje się, że imię Weronika, chociaż może równie przypaść N-rowi 6, jak Agata, jednak więcej pasuje do N-ru 1 niż do 6, zaś imię Melanja (ciotka, gruba ciotka Melanja) więcej do N-ru 2 niż do 1. W każdym razie najwięcej nadeszło trafnych rozwiązań, co potwierdza naszą obronę zadania. Inne imiona odgadnąć było łatwiej.

LOGOGRYF KONKURSOWY

(trzecie zadanie konkursowe)

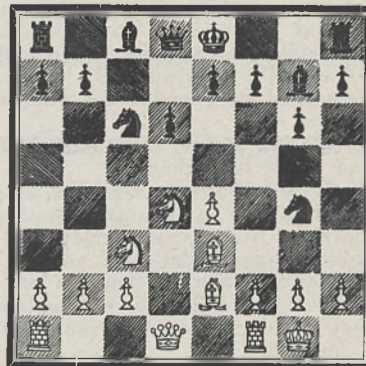
a, an, ar, ciem, den, dno, dy, e, fir, in, le, li, mon, mum, na, ne, ni, no, no, or, ot, pa, pi, rew, rus, sa, wi, wia, wolf, ze.

Z powyższych sylab ułożyć 15 wyrazów, których początkowe i końcowe litery czytane zgóry ku dołowi utworzą rozwiązanie.

ZNACZENIE SŁÓW.

1. Wilk (w jęz. obcym)
2. Spójnik
3. Cytryna
4. Rzeka w Europie
5. Wiatr
6. Nie te same
7. Raj
8. Stary wypróbowany żołnierz
9. Pisarz włoski (po utworzeniu słowa z sylab, należy całe słowo odwrócić)
10. Określenie stanu oświetlenia
11. Wiatr
12. Pseudonim poety polskiego
13. Przeciwieństwo do wyrazu Nr. 10
14. Rzeka w Polsce
15. Pasmo gór.

POZYCJA DEBIUTOWA



Czy ostatnie posunięcie czarnych (sf6-g4?!) było dobre?

Odpowiedź w N-rze następnym

KONKURS ROZWIĄZAŃ „7 DNI"

KUPON Nr. 3 (z Nr. 11)

Nazwisko i imię ....

....

Adres ....

....

BURZA

PHILIPS OPPENHEIM (9)

Streszczenie poprzednich rozdziałów:

W Nizzy odbywa się Kongres Wielkiego Traktatu Narodów, pod przewodnictwem ambasadora Anglji, lorda Yeowil. Obrady idą opornie, przyczem sytuacja komplikuje się tajemniczem samobójstwem przedstawiciela Japonji. Grant Slattery, przyjaciel lorda, b. narzeczony Gertrudy von Dirs, organizuje wycieczkę morską na swym prywatnym yachcie, gdzie poznaje niejakiego Blunna. Po powrocie do Monte Carlo, Grant udaje się do restauracji Carlton, na schadzkę z tancerką Cleo, która miała mu opowiedzieć rewelacyjne szczegóły o porozumieniu niemiecko-japońskiem. W ostatniej chwili Cleo odmawia wszelkich zeznań. Na drugi dzień Grant gra w tenisa z lordem i jego córką Zuzanną, która obraża się na niego. Nazajutrz, kiedy Slattery jest u Gertrudy, przyjeżdża jej mąż i grzecznie, lecz stanowczo wyprasza go za drzwi. Tegoż wieczoru Gertruda przybywa na yacht Granta, chcąc uciec od męża. Grant się na to nie zgadza.

ROZDZIAŁ XIV.

„Szara Dama", wioząca tego dnia na swem pokładzie kilka wybitniejszych osobistości, wzięła kurs południowy. Spokojna zwykle toń morza Śródziemnego była tego dnia dziwnie wzburzona. Statek pruł szybko fale, które rozbryzgiwały się białą pianą. Drobna rosa padała na pokład. Zuzanna, stojąca blisko steru, pochyliła w tył śliczną główkę i wystawiła włosy na powiew wiatru.

— Cudownie, Grant! To chyba najpiękniejsza ze wszystkich przejażdżek na pana jachcie. Wiatr jeszcze się wzmaga, prawda?

— Rzeczywiście. Staje się nawet coraz chłodniej — dodał Grant — ale jesteśmy przecież wszyscy wilkami morskimi.

— Jeżeli chodzi o mnie — odparł Blunn — to może wywiera na mnie zgubny wpływ. Podnieca mój apetyt, pobudza pragnienie, napełnia mnie radością życia.

— Jestem rad, że wspomniał pan o pragnieniu — uśmiechnął się Grant. Upłynęło już trochę czasu od lunchu i już czas najwyższy na cocktail. Muszę zaznajomić barona Funderstorma z moją znakomitą szkocką whisky. Przejdziemy do palarni.

Baron Funderstorm, wysoki, ponury człowiek o siwych włosach, szarej twarzy i zmęczonych manierach, przyjął zaproszenie bez entuzjazmu, ale i bez niechęci. Wypił ze spokojem dwa kieliszki:

— Dobra wódka — stwierdził.

— Znakomita! Przypomina mi moją młodość — dodał Blunn.

— Nie jest tak mocna, jak nasza skandynawska. Można ją pić bez szkody.

Grant napełnił ponownie kieliszki.

— Panie Slattery, jest pan najlepszym w świecie gospodarzem. Nie zapomnę nigdy tego pierwszego pikniku, który wydał nam pan na swym yachcie. To zadziwiające, że pan nas tak szybko i gorliwie znowu zaprosił. Czy pan wyląduje nas jeszcze przed obiadem, czy też uraczy nas pan swą znakomitą kuchnią.

— Najpewniej będziemy zmuszeni jeść na statku — odparł Grant. — Jeżeli wiatr nie ustanie, to bardzo późno dobijemy do brzegu. Sądzę, że moja kuchnia i piwnice zadowolą państwa.

— Pan urządził to wszystko rzeczywiście z niesłychanym luksusem — zauważył baron Funderstrom. Lecz proszę, niech pan pamięta o tem, że jutro punkt o 9 rano musszę być w Nizzy na konferencji.

— Kiedy weźmiemy kurs powrotny? — zapytał Blunn.

— Natychmiast, o ile to będzie możliwe — odparł Grant ze spokojem.

Książę von Dirs, ubrany bez zarzutu w granatowy „serge" wtrącił się również do rozmowy i upominał Granta, że od godziny przeszło nie widać już śladu lądu.

— Sadzę, że kapitan Martin wie już, co należy zrobić — odpowiedział Grant chłodno i zaproponował kieliszek whisky lub brandy z wodą sodową.

— Nie pijam absolutnie wódek — odpowiedział szybko. Natomiast chętnie napiłbym się wina, jeżeli ma pan coś na statku.

— Owszem, mam Cliquot.

— Chętnie się napiję — odparł książę.

Usiedli dookoła stołu, podczas gdy steward wnosił kubeł z lodem. Towarzystwo rozweseliło się. Grant skorzystał ze sposobności i wymknął się do Gertrudy.

— Rzeczywiście — zauważyła — mamy przedziwnie korzystny dla nas wiatr. Zdaje się, że nadomiar wszystkiego rozpoczęła się tam już dobra pijatyka w palarni. To Otto sprowokował szampana. On nigdy nie pija nic innego. Kiedy, myśli pan, może nastąpić mała kontrowersja z tymi panami?

— Dopiero po obiedzie. Kiedy zajdzie potrzeba puszczenia pary przyślą po mnie do maszyn. A co do tej pary, to jeszcze zobaczymy.

Korneljusz Blunn wyszedł z palarni i był czegoś niezadowolony. Zbliżał się ku nim, przyglądając się słońcu i śledząc kurs statku.

— Mamy kawał drogi z powrotem — rzekł do Granta.

— Na powrotnej drodze każę puścić parę. Obecnie poruszamy się tylko przy pomocy żagli; paniom to się bardzo podoba.

— Nie jestem marynarzem, ale zdaje mi się, że powrót przy pomocy żagli będzie niemożliwy. Niech pan pamięta, że baron Funderstrom musi być przed północą w Nizzy.

— Z powodu 50 tys. funtów i przekupnego głosowania — dodała w myśli Gertruda.

Grant odszedł na chwilę. Blunn zbliżył się do Gertrudy.

— Dlaczegóż tak zależało panu Slattery na zaproszeniu skandynawskiego barona. To przecież nudny człowiek, ten Funderstrom.

— To ja go namówiłam — odparła Gertruda. — Ponieważ wymieniłam jego nazwisko, myślał pan Slattery, że mi zależy na jego towarzystwie.

— Aha! To pani go namówiła, księżno — powtórzył Blunn w zamyśleniu. — Zobaczymy, zdaje się, że postąpiłem jak głupiec, pozwoliwszy dziś baronowi i księciu na tę przejażdżkę. Dowiem się o tem niebawem.

— Nie sądzę, aby popełnił pan głupstwo. Stał się pan raczej bardzo tajemniczy — odpowiedziała Gertruda.

— Zdaje mi się, że docieram właśnie do dna tajemnicy — zauważył Blunn znacząco.

Ogromna ilość cocktailów i wina wydała mu się podejrzana.

Kiedy jednakże weszli na obiad do jadalni, przeraził się na widok kilku kubłów, w których mrozil się szampan.

Zaczęto podawać obiad. Wino krążyło dokoła biesiadników. Rozmowa, z początku wymuszona, stawała się weselsza i bardziej głośna. Jedynie Blum nie zdawał się być w humorze. Spoglądał często na drzwi i na zegarek.

— Cóż z naszym kursem powrotnym — zwrócił się do gospodarza.

— Niedługo już usłyszy pan pracę maszyn — uspokoił go Grant.

Minęła blisko godzina, a wciąż jeszcze panowała cisza.

Młody marynarz zbliżył się do Granta i szepnął mu coś na ucho.

— Przepraszam na chwilę — zwrócił się do gości — to jedynie kwestja etykiety. Mój inżynier musi zawsze zwracać się do mnie o radę. To jedynie kwestja pewnej etykiety.

Wrócił po dziesięciu minutach. Weseli biesiadnicy przyjrzeli mu się z uwagą. Gertruda była najbardziej ożywiona i rozochocona.

— Czy stało się coś złego, Grant? Mamy dziś rzeczywiście urozmaicony dzień. Być może, że za chwilę zamienimy się w nieszczęsnych rozbitków.

— Tak źle nie będzie — uspokajał Grant. — Znalazłem tylko mały defekt w maszynie, co niebawem będzie można naprawić.

Baron Funderstrom wychylił właśnie swój kieliszek szampana i patrzał pożądliwie na drugą butelkę.

— Nie będzie chyba żadnych przeszkód, abyśmy mogli wylądować rano w Nizzy — zapytał.

— Najmniejszych — obiecywał Grant, dając znak stewardowi. — A teraz, panowie, musimy dokończyć naszego szampana. Chciałbym państwu również zaprezentować moją maderę. Kupowałem ją sam na wyspie i mam wrażenie, że jest bez konkurencji.

Pili jeszcze z dobrą godzinę. Kobiety udały się na pokład, skąd wróciły po chwili w przemoczonych okryciach.

— Ciemno, choć oko wykol — rzekła Zuzanna — i w dodatku pada przenikliwy deszczyk. — Panie gospodarzu — zwróciła się do Granta — urozmaica pan nam nadzwyczajnie czas. Nawet pogoda jest zmienna.

Grant zaproponował przejście na pokład, zapewniając, że wnet będą puszczone w ruch maszyny.

— Pójdę na chwilę do kapitana i kabiny maszynowej — rzekł, zwracając się do gości.

— Pozwoli pan, że będę mu towarzyszyć — narzucał się Blunn.

Grant poprowadził ich przez mały korytarzyk, wysadzony orzechowem drzewem i nagle otworzył szeroko drzwi własnej kabiny. Blunn nastąpił na niego tak mocno, że Grant potknął się lekko i wpadł do wnętrza . W tej samej chwili wpadł za nim książę von Dirs, zatrzasnął ciężkie drzwi i przytknął rewolwer do jego skroni.

— Jeżeli pan piśnie słówko, zastrzelę pana natychmiast — wyszeptał Blunn nad uchem. — Ręce do góry!

Grant podniósł posłusznie jedną rękę w górę, drugą zapalił cygaro.

— Daję wam słowo honoru, że nie mam przy sobie broni i nie miałem zamiaru wszcząć kłótni z uzbrojonymi. Cóż to wszystko znaczy?

— Puści pan w ruch maszyny? — pytał zdławionym ze wściekłości głosem Blunn.

— Chcę widzieć, jak was przedtem ze złości djabli wezmą — odpowiedział Grant spokojnie.

ROZDZIAŁ XV.

Kapitan Martin i inżynier Nikolsen siedzieli spokojnie w odległej kabinie kapitańskiej i pykali swe fajeczki, gdy ku ich zdumieniu wkroczyli do nich Blunn i baron Funderstrom.

— Dobry wieczór panom — rzekł kapitan zdziwiony.

Korneljusz Blunn postanowił nie tracić na darmo słów:

— Chcielibyśmy dokładnie wiedzieć, co stało się z waszemi maszynami? Dlaczego nie możemy wbrew obietnicom pana Slattery wrócić do Monte-Carlo?

— A któż powiedział coś o maszynach? Przecież wszystko jest w największym porządku — odpowiedział Nikolsen.

— Poinformował nas w ten sposób pan Slattery.

— Jeżeli tak, to pan Slattery ma napewno słuszność — zauważył inżynier.

— Nie wierzę w to — odpowiedział Blunn — pan Slattery zatrzymuje nas naumyślnie na yachcie z jakichś ukrytych powodów.

— W takim razie, proszę się zwrócić do naszego pana — namawiał Nikolsen. — Moim obowiązkiem na pokładzie jest słuchać jedynie rozkazów właściciela yachtu. Skoro tylko pan Slattery rozkaże, puścimy w ruch maszyny. Więcej nie mogę już panom powiedzieć na ten temat.

Blunn, jako wytrawny znawca ludzi, postanowił działać w sposób bardziej zdecydowany:

— Jestem przekonany, że panowie są ludźmi honoru. Pan Slattery gra z nami bardzo niebezpieczną grę, mianowicie chce przeszkodzić, aby tu obecny baron Funderstrom brał udział w jutrzejszej konferencji na kongresie.

— Widocznie ma po temu ważne powody — zauważył inżynier.

— Nie chcę wtajemniczać panów w konspiracją polityczną, która tu zaszła. Postawię sprawę prosto. Jeżeli panowie wylądują nas nad ranem w Monte Carlo, otrzymacie w ciągu jutrzejszego dnia pięć tysięcy funtów .

— Pięć tysięcy funtów! — wykrzyknął kapitan.

— Pięć tysięcy! — powtórzył za nim inżynier. — Wielka suma! Lecz, jak się rzekło, możemy słuchać tylko rozkazów pana Slattery.

— Pan Slattery wydał już panom rozkazy, z któremi w żaden sposób nie możemy się zgodzić. A jeżeli do tych pięciu dodam jeszcze dwa tysiące? — pytał Blunn, mrużąc oczy.

— To bardzo dużo pieniędzy — zauważył Nikolsen. — Nie wiem wcale, co robi się z taką sumą.

— To już sprawa panów — niecierpliwił się Blunn. — Może pan już umówić się z kapitanem, co do podziału pieniędzy. Wszystko, czego wzamian żądamy, to jedynie kwestja puszczenia w ruch maszyn i wylądowania nas nad ranem, przed 9, w Monte Carlo. Dziesięć tysięcy funtów zostanie panom wypłacone w ciągu jutrzejszego dnia gotówką.

Kapitan Nikolsen strząsnął popiół z fajki:

— Sądzę, że żaden z panów nie zna elementarnych zwyczajów wśród marynarzy. Traci pan napróżno czas i słowa. Proszę również zdjąć palce z rewolweru, bo automatyczna maszynka łatwo wystrzeli.

Baron Funderstrom cofnął się w tył, a za nim pieniący się ze wściekłości Blunn. Zaryglowali od zewnątrz drzwi kabiny, podobnie jak uczynili to z kabiną Granta. Mieli już trzech więźniów.

Udali się w stronę steru, przy którym pełnił obowiązki starszy marynarz, Henry Fosbrooke. Wypełniał dziwne rozkazy swego pana, nie mogąc dociec ich przyczyny. Blunn zbliżył się do niego zdecydowanym krokiem.

— Czy pan jest oficerem dyżurnym? — zapytał Blunn.

(D. c. n.)

Z lewej strony: jeden z tuneli londyńskiego Metro.



U dołu: Eskalator, czyli ruchome schody, na jednej ze stacyj paryskiego Metro.



INŻ. Z KACPROWSKI.

Koleje podziemne

Jeszcze przed kilkudziesięciu laty największe stolice świata zostały postawione przed koniecznością odciążenia najbardziej ruchliwych dzielnic, a jednocześnie związania ośrodków handlowych miasta z jego końcami.

Komunikacja na powierzchni już wtedy okazała się niedostateczną, jakkolwiek puls życia wielkomiejskiego dalekim był jeszcze od tego natężenia, jakie mu nadały później ogromne ilości pojazdów mechanicznych, liczba których zaczęła wzrastać w szybkiem tempie z roku na rok.

Pomijając ewentualność miejskiej komunikacji napowietrznej, która, bądź co bądź, nosi jeszcze i teraz charakter *quasi* Jules Verne'owski, zwrócono się do dziedziny bardziej dla naszych środków technicznych dostępnej, mianowicie do komunikacji podziemnej.

Prototypem kolei podziemnych, a zarazem pierwszą na świecie imprezą tego rodzaju jest Metro londyńskie, oddane do użytku w r. 1863. Obecnie jest ono eksploatowane przez dziesięć towarzystw akcyjnych, z których najważniejszemi są: „The Metropolitan Railway" i „The London General Omnibus Co".

Następnie powstały koleje podziemne, w Nowym Jorku, Berlinie i w Paryżu, gdzie pierwszy odcinek był oddany do eksploatacji w r. 1900, podczas Wielkie Wystawy.

Prace, związane z budową Metro są trudne, kosztowne i niezawsze bezpieczne dla wykonawców. Prace te komplikują się wielokrotnie w wypadkach indywidualnych, gdy trzeba zwalczać trudności lokalne, i rozwiązywać zadania konstrukcyjne zgoła nowe, jak to miało np. miejsce niejednokrotnie przy budowie podziemnych stacji i linji w Paryżu.

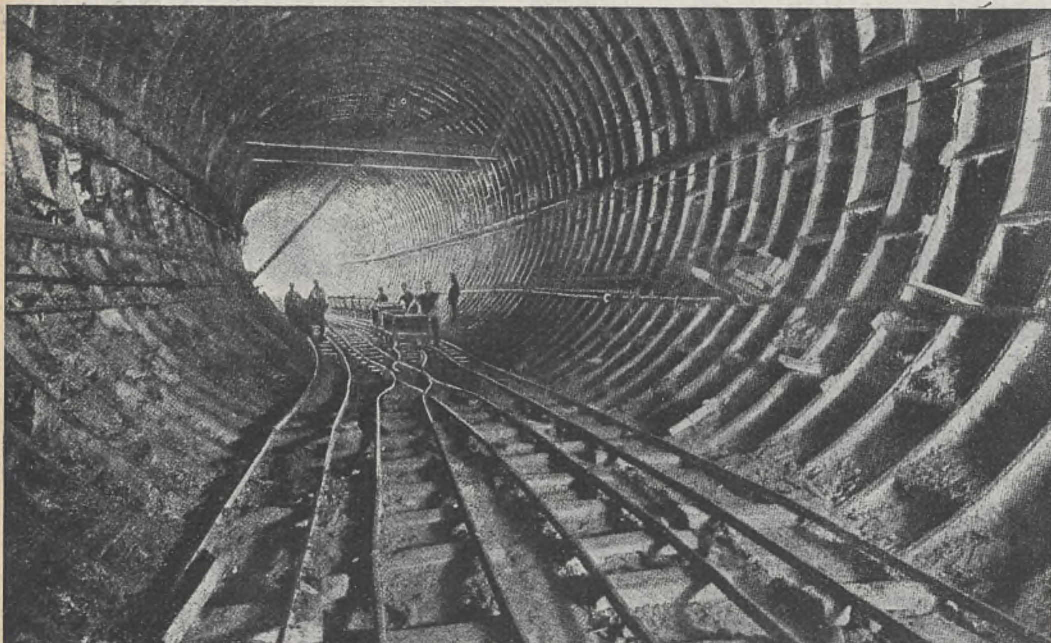
Nie wdając się w opis tych sposobów, które były stosowane ongiś przy prowadzeniu tuneli podziemnych, sposobów prymitywnych, powolnych i niebezpiecznych, powiemy odrazu, że metoda współczesna pracy polega na użyciu t. zw. tarczy.

Wynalazcą tarczy był anglik Greathead, którego względnie prosty wynalazek, można nazwać epokowym dla robót podziemnych.

Pierwiastkowo tarcza, przedstawiała cylinder stalowy, o średnicy budowanego tunelu i długości około 2 metrów, posiadający z przodu brzegi wyostrzone.

Pierwsze stadjum pracy polega zawsze na wykopaniu szybu, w niektórych wypadkach na znaczną głębokość. Szyb jest punktem wyjścia dla przyszłego tunelu.

Do tak przygotowanego szybu opuszczano tarczę, i ustawiano ją w kierunku osi projektowanego tunelu. Układ potężnych lewarów, opierających się o boki zapoczątkowanego wygłębienia, służył do wywarcia nacisków na tarczę, która, wrzynając się ostrym brzegiem w ziemię, odrazu oddzielała całą masę piasku, kamieni lub gliny, wpadającą do środka cylindra, a stamtąd ewakuowaną nazewnątrz.



Tunel londyńskiego Metro pod Rotherithe.

Później jednak ulepszono samą tarczę w tym sensie, że zaopatrzono ją w skrzydła obrotowe z tnącemi krawędziami, a posuwanie się jej osiągnięto za pomocą sprzężonego powietrza. Ta t. zw. tarcza rotacyjna jest obecnie klasycznem narzędziem przy wierceniu tuneli; oszczędza ona kosztów, a szczególniej czasu, gdyż praca idzie tu znacznie predzej, bo aż z prędkością... kilku metrów wykopanych na dzień. Materjały wydobyte są obecnie usuwane również mechanicznie, za pomocą poruszających się pasów bez końca.

Skoro tarcza wykonała w danem miejscu swą pracę, następuje natychmiast założenie pierścieni metalowych, które skręcone śrubami razem, tworzą właściwy tunel, czyli rurę. Pierścienie takie składają się z 6 oddzielnych odcinków każdy, i posiadają otwory, przez które zostanie wtłoczona pod ciśnieniem zaprawa cementowa, w celu zapełnienia luk i wolnych przestrzeni między metalem, a ścianą ziemną. W ten sposób osiągnięty jest najściślejszy kontakt między ostatniemi.

Powyższy opis procesu wiercenia, z konieczności szematyczny, nie daje pojęcia o trudnościach i niebezpieczeństwach, na jakie załogi pracujące pod ziemią, mogą natknąć się.

Największem wśród nich jest zjawienie się wody. Wróg ten, podstępny i uparty, może wywołać każdej chwili niebezpieczeństwo śmierci dla śmiałków, wykonujących swą krecią robotę. Niebezpieczeństwo to istnieje nietylko wtedy, gdy tunel przechodzi podłożem rzeki, ale właściwie zawsze, gdyż nigdy niewiadomo, czy posunięcie się naprzód o jeszcze kilkanaście centymetrów nie zburzy wątłej ścianki jakiegoś podziemnego zbiornika, który odpowie istnym potopem na atak intruzów, przyprawiając ich o niemal niechybną śmierć.

Nawet pompy, skuteczne, skoro chodzi o ewakuację przesączanej wody w drobnej ilości, są bezradne w razie gwałtownej powodzi.

Jest na szczęście inny środek skuteczniejszy, a tym jest przężone powietrze, dostarczane przez specjalną instalację. Ciśnienie więc, wywołane sztucznie w tunelu, gotowe jest odeprzeć każdej chwili grożącą powódź.

Tunel naturalnie musi być w tym wypadku należycie uszczelniony, co osiąga się przez urządzenie t. zw. w żargonie zawodowym „zamka powietrznego", składającego się z komory o dwojgu drzwi, poprzedzającej właściwy tunel.

Ale dopiero przy wierceniu pod dniem rzeki prace przyjmują napięcie istnie dramatyczne.

Kompresory stale utrzymują ciśnienie w niebezpiecznym odcinku tunelu, a sprężone powietrze gotowe jest odeprzeć kataklizm w razie potrzeby. Ale z drugiej strony, najmniejsze przekroczenie odpowiedniego ciśnienia może wywołać skutek wręcz przeciwny: przerwać ściankę oddzielającą wodę od tunelu, i wyrzucić górą pracujących w nim ludzi, wprost w odmęty wodne.

To też w tych wypadkach życie całej załogi pod ziemią jest dosłownie w rękach jednego człowieka, który, ślepo wykonując otrzymywane rozkazy, reguluje ciśnienie wewnątrz tunelu.

Jak realne są obawy tego rodzaju, może zaświadczyć wiercenie tunelu pod Tamizą w Londynie.

Praca na tym odcinku trwała 10 miesięcy, a władze wydały specjalną odezwę do ludności, aby była ostrożną w wycieczkach wioślarskich po Tamizie, gdyż powietrze sprężone z tunelu wierconego pod rzeką, przedostając się nazewnątrz, powoduje niebezpieczne dla wioślarzy wiry.

W innym znów wypadku publiczność londyńska, przechodząc przez ulicę, zauważyła, iż asfalt na niej wykonywa ruchy falujące. Przyczyną tego zjawiska było również ciśnienie w tunelu, wierconym w tym okresie..

Personel, pracujący w tunelach pod ciśnieniem podlega po wyjściu zbyt szybkiem na powierzchnię ziemi tej samej dolegliwości, której ofiarami są często nurkowie. Jest to t. zw. po angielsku *„caisson desease"* (choroba kesonowa), wyrażająca się w najlepszym razie omdleniem i dotkliwymi bólami, ale również prowadząca często i do zgonu. Jest ona wywołana zaburzeniami krwioobiegu, z powodu znacznej różnicy ciśnień, jakiej poddany został organizm, przechodząc z tunelu do ciśnienia atmosferycznego. Dlatego też, wśród instalacji pomocniczych, przedsiębiorstwa wiertnicze posiadają komorę redukcyjna, gdzie chory leczony jest przez stopniowe obniżanie ciśnienia powietrza.

Potężnem dziełem sztuki inżynierskiej w znaczeniu jakości, koncepcji i objętości jest paryskie Metro i linja Nord-Sud.

Dość powiedzieć, że ilość ziemi wykopanej z tunelu, oblicza się na 9 miljonów metrów sześciennych, mających 30 miljonów kilogramów!

Ilość materjałów, użytych do budowy, wyraża się w liczbach gigantycznych, a trudności napotykane w wielu wypadkach przy budowie musiano pokonywać za pomocą sposobów, dających jeszcze jedną atestację genjalnej wynalazczości, i dużej wiedzy technicznej inżynierów francuskich.

Na placu św. Michała np. zbudowano specjalny zakład do zamrażania wody, przeszkadzającej w pracach pod ziemią.

Sama stacja podziemna, na Placu Opery, składająca się z trzech kondygnacji, na głębokości 25 metrów pod poziomem ulicy, zbudowana na 3 kesonach, wraz ze swymi trzema tunelami, przebitymi jeden nad drugim — jest godnym pomnikiem kunsztu następców, Vancanson'ów i Eiffel'ów.

Podziemne koleje, jak łatwo rozumieć, cieszą się nadzwyczajnem powodzeniem wśród publiczności i obecnie, wskutek zupełnego zatkania przelotności głównych arterji w wielkich miastach przez niezliczone wehikuły — są jedynym pośpiesznym środkiem komunikacji.

Widzieliśmy, że obdarowanie ludzi tak cennym prezentem, jakim jest Metro, kosztuje dużo pracy, pieniędzy, czasu i niejedno życie ludzkie.

Jeśli prawdziwą jest maksyma francuska *„rien pour rien"*, to tutaj ona znajduje nader dosadną interpretację...

O zaginionych i o sobowtórach

Sprawa tajemniczego zniknięcia generała Kutiepowa nabrała niezwykłego rozgłosu i prasa całego świata rozpisuje się o niej szeroko do dziś dnia, nie wnosząc jednak już nic nowego. Zagadka pozostaje niewyjaśniona... Wszyscy wprawdzie wskazują, jako na sprawców, na agentów bolszewickiego GPU, ale niezbitych dowodów nie udało się jeszcze zdobyć i kto wie, czy kiedykolwiek będzie można je mieć. Generał przepadł jak kamień w wodę!

Czy jednak wszyscy zdają sobie z tego sprawę, że takich nieodgadnionych zniknięć ludzkich jest mnóstwo — we wszystkich krajach i we wszystkich epokach. Ze względu na osobę i rolę przewódcy emigracji rosyjskiej we Francji, na jego działalność przeciwbolszewicką i cały splot interesów politycznych, z tem związanych, jego nagłe zniknięcie oddziałało na umysły w szczególnie silnym stopniu i odbiło się głośnem echem w całym świecie, ale ileż to podobnych wypadków w życiu się powtarza. Niedawno temu, z okazji afery z trupem kobiecym, pociętym w kawałki i wyłowionym z Sekwany pod Paryżem, wyszło na jaw, że w samej tylko stolicy Francji ginie corocznie bez wieści około 8000 osób. O losie tych zaginionych władze polityczno-śledcze nie zawsze są w stanie coś bliższego się dowiedzieć. Wysiłki najzdolniejszych detektywów pozostają często bezpłodne.

Jakkolwiek dziś zniknąć jest trudniej, niż ongiś, kiedy to jeszcze rodzaj ludzki nie był poddany tak czułej opiece i kontroli władz policyjnych, niemniej w zdumienie wprawić nas muszą te i dziś niezwykle wysokie cyfry osób zaginionych. Zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety. Zresztą, co się ich tyczy, nie zawsze ma się do czynienia z czemś bardzo tajemniczem i nieodgadnionem. Kobietom w praktyce łatwiej jest zginąć i przedzierzgnąć się przy tej sposobności w nową istotę z punktu widzenia prawa. Czynią to często w towarzystwie mężczyzny — kochanka lub uwodziciela, którego stan cywilny jest dla nich ochroną i ukryciem.

Jeśli chodzi o tę kategorję pseudozaginionych, to często prowadzący śledztwo agenci potrafią je odszukać, ale nie zawsze uważają za obowiązek donieść o tem mężowi, który może rozpacza, a może też... jest zadowolony i tylko dlatego zwracał się do policji, wskazując na możliwość zbrodni, żeby się upewnić (od przybytku głowa nie zaboli) o losie „niewiernej”.

Na liczbę zaginionych przypada też wielka ilość dzieci, które znikają z domu rodzicielskiego lub z ulicy. Wchodzi tu w grę najczęściej albo strach przed rodzicami z powodu ich surowości, albo obawa kary za jakąś jednorazową przewinę, albo też — w dzisiejszych czasach zwłaszcza — pragnienie przygód, pobudzone lekturą awanturniczych przygód i wrażeniami z kina. Te zniknięcia nie trwają długo. Gdy się jest bez grosza, gdy głód zacznie małym uciekinierom dokuczać i wyczerpie się zapas entuzjazmu i pierwszego porywu, szybko wracają oni na łono rodzicielskie, mając ułatwioną drogę powrotu dzięki prowincjonalnej żandarmerji.

Ale obok tych częściowych czy też względnych zaginięć, zupełnie niezagadkowych, względnie bardzo szybko wyjaśniających się, istnieje cały szereg innych, liczących się na setki i tysiące, a mających charakter niedociecznej tajemnicy. Upływają miesiące i lata całe, zanim prawda nie wyjdzie na wierzch, a często jest ona dla nas na zawsze zamknięta. Tego rodzaju sprawy, najczęściej kryminalne, nasuwają prowadzącym śledztwo trudności niesłychane i zmuszają ich do drobiazgowego, mikroskopijnego wprost, że się tak wyrazić, badania okoliczności, towarzyszących zniknięciu oraz sposobu życia i psychologji zaginionej osoby. Różnorodne bowiem możliwości trzeba brać po kolei pod uwagę.

Osoba zaginiona mogła paść ofiarą zamachu, porwania, mordu. Jakiego podstępu użyto, aby ją schwytać, a potem uwięzić gdzieś albo zabić? Gdzie się znajduje, żywa czy umarła? Na wszystkie te pytania trzeba szukać odpowiedzi.

Niejednokrotnie jedna z tych zagadek zostaje rozwiązana, ale brak odpowiedzi na drugą. Kroniki spraw kryminalnych zawierają niejedną taką aferę, w której morderca został ujęty i skazany na podstawie poszlak obciążających go, ale ciała zaginionego, mimo to nie odnaleziono.

Swoją drogą, są to okoliczności wyjątkowe i anormalne, żeby po wykryciu winnych nie natrafiono na zwłoki zaginionego. Wyjątkiem są tu nieszczęśliwe wypadki — na morzu lub w górach naprzykład. W takich razach po zaginionym przepada zazwyczaj wszelki ślad. Są jednak nieszczęśliwe wypadki w okolicznościach, zdawałoby się, normalnych, a przedstawiające, mimo to, nieprzeniknioną tajemnicę wskutek tego, że ciała odnaleźć nie sposób. Można tu zacytować jako klasyczny przykład, niesłychanie tragiczny fakt, jaki miał miejsce w 18-tym wieku we Francji, z młodą panną, z arystokratycznej rodziny — Łucją de Precontal. W osiemnastym roku swego życia i w dzień swego ślubu i wesela odprawianego w posiadłości jej matki, na zamku Montsegur, zniknęła w niewytłumaczalny sposób, i to tak nagle że wprawiło to wszystkich w prawdziwe osłupienie. Zdeptano cały park, przekopano głęboki wąwóz, gdzie sądzono, że wpadła, urządzono pościg za cyganami, których podejrzewano o jej porwanie. Wszystko na nic... Dopiero po osiemnastu latach Łucja została odnaleziona jako trup zmurszały, zamurowana w potajemnym pokoju zamkowym, który służył niegdyś za kryjówkę głośnemu baronowi des Adrets, przywódcy ruchu hugonockiego w 16-tym wieku we Francji. Całkiem przypadkowo Łucja wpadła na tajemniczy mechanizm, otwierający drzwi, ukryte wśród boazerji... ale już z powrotem otworzyć ich nie mogła. Zamknęły się za nią automatycznie i hermetycznie na zawsze. Szpilką, na grzbiecie oprawy Biblji, wytłumaczyła swój los... tak niesłychanie tragiczny.

Zaginiony mógł też popełnić samobójstwo. I tu nasuwa się odrazu pytanie, gdzie się podziało jego ciało i jakie były motywy samobójstwa. Może się zdarzyć wypadek amnezji i ucieczki obłąkańczej mniej lub więcej świadomej, jak wiele ciekawych przykładów na to mogą podać lekarze psychjatrzy. W takich razach zaginiony odnajduje się sam, gdy napad szału przeminie, albo też błąkającego się znajdują inni na podstawie rysopisu, podanego przez prasę.

Zachodzą też wypadki umyślnego zaginięcia. Ten, który się do tego posuwa, robi to albo przez chęć zerwania z dotychczasowem życiem, ponieważ mu ono ciąży lub napawa go wstydem, albo też pragnie uciec przed groźnymi wrogami, pozbyć się nazbyt ciężkich obowiązków, popędzić wreszcie za jakąś miłostką; czyni to także mizantrop, znudzony rodziną, ojczystym krajem czy bliźnimi, chcąc uciec jaknajdalej od ludzi, by żyć incognito na podobieństwo owego, legendarnego już dziś, arcyksięcia austrjackiego, Jana Salvatora, który stał się Janem Orthem i do dziś dnia ukrywany jest w coraz to innym punkcie globu.

Jeżeli chodzi o Kutiepowa, niektórzy wyrażają przypuszczenie, że, o ile nie przeszedł dobrowolnie na służbę bolszewików, to, być może, usunął się potajemnie, chcąc się pozbyć swych ciężkich obowiązków. Hipoteza ta jednak nie znajduje wiary podobnie jak i druga, usiłująca Kutiepowa przedstawić w roli zakonspirowanego emisarjusza, który wyruszył do Rosji, w tajemnicy przed swymi najbliższymi współpracownikami, by przygotować tam przewrót antybolszewicki.

Z dziedziny tajemniczych zaginięć na tle politycznym trzeba zacytować podobny do kutiepowskiego wypadek z chińskim Leninem — Sun Yat Senem. Zamieszany w spisek przeciw dynastji mandżurskiej, Sun Yat Sen schronił się do Londynu. Pewnego dnia, 10 października 1896 roku, został siłą czy podstępem — niewiadomo dotąd dokładnie — porwany i uwięziony w poselstwie chińskiem o chlebie i wodzie. Czekano tylko na chwilę sposobną, by go odtransportować do Chin, albo załatwić się z nim w lokalach poselstwa, gdy tymczasem jeden z woźnych poselstwa wydał wszystko. Ówczesny angielski minister spraw zagranicznych, lord Salisbury, ujął się energicznie za uwięzionym, jako korzystającym z prawa azylu, i poselstwo chińskie było zmuszone Sun Yat Sena wypuścić na wolność.

Najczęściej więc los zaginionych, prędzej czy później, wychodzi na jaw i przestaje być zagadką. Ale zdarza się, że zagadka pozostaje na zawsze. Typem całkowicie tajemniczego zaginięcia jest to, które się zdarzyło w Brukseli pod koniec ubiegłego wieku. Dwaj bracia, należący do znanej w kołach towarzyskich i szanowanej rodziny, a z których jeden miał lat siedemnaście, drugi zaś dziewiętnaście, wyszli razem pewnego ranka z domu rodzicielskiego na wykłady do uniwersytetu, jak codziennie. Znalazłszy się w gmachu uniwersyteckim, rozeszli się, uścisnąwszy sobie dłonie, ze słowami: „Do zobaczenia”. Jeden skręca na prawo, drugi na lewo. Tego ostatniego, młodszego brata, nie oglądano już nigdy więcej. Pomimo wszystkich poszukiwań, nigdy nie dowiedziano się nic o jego losie.

Komplikuje jeszcze problem tajemniczego zniknięcia w wielu wypadkach i w osobliwy sposób zjawisko uderzającego podobieństwa. Ktoś donosi naprzykład, że widział zaginionego. Ale czy widział jego samego, czy też jego sobowtóra? Kwestja niepokojąca dla prowadzących śledztwo — kwestja, która nie zawsze łatwo jest wyjaśnić.

Niektórzy mężczyźni albo kobiety odznaczają się ściśle tym samym wzrostem, tą samą twarzą, tym

samym głosem i zachowaniem się, co inni mężczyźni i kobiety, choć różnicą są tu często pozycje socjalne bardzo odmienne. Od czasów najdawniejszych było to przyczyną najdziwniejszych qui pro quo, licznych skandalów i głośnych, patetycznych procesów. Liczni intryganci i intrygantki chcą uchodzić za osobę zaginioną, jak w głośnej swego czasu we Francji aferze Marcina Guerre, w której żona tego ostatniego, w ciągu wielu lat uważała pospolitego oszusta za swojego męża, albo przynajmniej „za djabła w jego skórze"; jak również w aferze Ticheborne'a w Anglji, gdy to matka zaginionego uznała za swojego syna oszusta i to nawet wtedy, gdy został on zdemaskowany. W innych wypadkach intryganci i intrygantki próbują wyciągnąć korzyść z podobieństwa do jakiejś wybitnej lub bogatej osobistości żyjącej: przykładem świeżo w Londynie zadziwiająca afera Druce Portland, albo jeszcze całkiem romantyczna przygoda bogatego właściciela ziemskiego na Węgrzech, nazwiskiem Vico.

Dziwne wypadki podobieństwa leżą u podstaw niejednej zagadki historycznej, zbulwersowały one życie niejednej jednostki przez fantastyczne nieraz i humorystyczne, albo tragiczne perypetje. Dostarczają też niezawodnego i zawsze wysoce intrygującego tematu autorom sensacyjnych powieści.

Stare legendy szkockie utrzymują, że każda istota ludzka ma swojego sobowtóra. Czy więc człowiek, który widzi swą „odbitkę", ma uważać ja za istotę obcą? Czy nie jest naturalne, że mężczyzna lub kobieta, spotykając taką „odbitkę" osoby umiłowanej, która zaginęła, skłonna jest przenieść swoją miłość na sobowtóra? Bardzo często tak się dzieje, i to nam tłumaczy wiele wtórnych i najczęściej nieszczęśliwych miłości, bo podobieństwo twarzy nie znamionuje podobieństwa serca.

K.

TO, TAMTO I OWO



Tradycyjny pochód karnawałowy,, t. zw. monome studentów chemików w Paryżu.

NIEZWYKŁA FOTOGRAFJA.

Kapitan amerykańskiego Korpusu Lotniczego, A. W. Stevens, wykonał niedawno pracę jedyną w swoim rodzaju.

Oto za pomocą specjalnie urządzonego aparatu fotograficznego, zaopatrzonego w błony, czułe na promienie podeszczowe, które, jak wiadomo, posiadają własność przebijania mgły i dymu — kapitan Stevens zdjął Górę Rainier, leżącą w stanie Waszyngton, z punktu, odległego o 363 kilometry!

Wzniósłszy się w tym celu na wysokość 5700 metrów w powietrze, lotnik wycelował objektyw swego aparatu w kierunku Góry Rainier, jakkolwiek jej samej nie widział.

Gdy na wywołanej kliszy ukazała się Góra Rainier, zmierzono na mapie odległość ostatniej od miejsca, nad którem znajdował się lotnik podczas fotografji. Okazało się, że otrzymanie fotografji z takiej odległości było w swoim rodzaju rekordem.

Należy dodać, że sfotografowana Góra, jakkolwiek dochodząca do wysokości 4600 m., zdaje się być niższą od innych,, otaczających ją, ze względu na swą odległość i krzywiznę ziemi.

Kapitan Stevens jest szefem sekcji fotograficznej Korpusu Lotniczego, stacjonowanego w Wright Field, w stanie Ohio.

Jest to zresztą nie pierwsza próba z jego strony, uczyniona w celu szerokiego zastosowania lotnictwa do celów wojskowych.

W zeszłym roku ten sam oficer, wraz ze swoim specjalnie wyszkolonym pilotem, dokonał zdjęcia z wysokości aż 12.500 metrów, za pomocą powyżej opisanego urządzenia.

Ministerstwo wojny popiera próby śmiałego lotnika, oceniając znaczenie tego rodzaju fotografji dla celów wojennych.

Próby te mają również znaczenie z punktu widzenia naukowego, dowodząc w niezbity sposób, o ile objektyw fotograficzny jest przyrządem doskonalszym od niedoskonałego ludzkiego oka.

Z. K.

TRUDNOŚCI RADJOFONJI FRANCUSKIEJ

Radjo we Francji w dalszym ciągu pędzi żywot z dnia na dzień w oczekiwaniu nowej ustawy radjofonicznej, która jak jakaś fata morgana lśni gdzieś w oddali blaskiem swych miraży, obiecując chwile błogiej i słodkiej szczęśliwości.

Tymczasem ciężka rzeczywistość daje się wszystkim we znaki. Artyści i wykonawcy w dalszym ciągu otrzymują za swą ciężką i wyczerpującą pracę śmiesznie niskie gaże. A kierownicy francuskich stacyj wciąż dalej narzekają na szalony brak pieniędzy.

Jedno z najpoczytniejszych pism paryskich „Le petit Parisien" tak pisze o tych sprawach: „Projekty? Pomysły? O! tak, tych nam nie brakuje, ale... Posłuchajmy wyznania dyrektora jednej ze stacyj francuskich: „Na wykonanie bogatych programów potrzeba pieniędzy, a my ich nie mamy. Brak nam dostatecznej ilości personelu technicznego, by wprowadzić nowości do naszego repertuaru. Codziennie walczymy z upartemi trudnościami i tylko dzięki jakimś nieprawdopodobnym sztuczkom dyplomacji i akrobacji wychodzimy zwycięsko z bezwładu, jaki nas otacza i tysiącznych drobnych przeszkód.

Jak mizerną pędzi egzystencję większość francuskich stacyj nadawczych, dowodzi choćby to, że stacje państwowe rozporządzają na cele programowe śmiesznie niskim budżetem 450.000 franków na rok (sic!). Jedna jedyna bodaj stacja nadawcza, utrzymująca swą reprezentację na możliwym poziomie, to „Radio-Paris", które mając do dyspozycji blisko miljon franków miesięcznie, ma temsamem możność utrzymania się na odpowiedniej wyżynie.

Wśród książek

Wacław Lipiński — Od Wilna po Dynaburg — (Wspomnienia z walk 5 p. p. Legionów) — Wydanie drugie (siódmy-dziesiąty tysiąc) — Warszawa 1930 — Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy. Str. 176 X.

Powodzenie tej książki jest najzupełniej zasłużone. Kiedy ukazało się jej pierwsze wydanie równe dziesięć lat temu, w dobie najgorętszych walk o wolność naszej Ojczyzny, była ona — ta książka pełna entuzjazmu walki — niejako uczestniczką zwycięskich zmagań, niejako pierwszym z krwawego pola żołnierskim raportem. Dziś posiada ona już walory historyczne. A że przytem odznacza się wieloma zaletami literackiemi i nosi charakter dużej bezpośredniości — przeto czyta ją się nietylko z niesłabnącem zainteresowaniem, ale i z niemałem wzruszeniem. Z tych wszystkich opisów pochodów i walk, triumfów i cierpień bije ożywcze źródło tężyzny i męstwa, i niezłomna wiara w odrodzoną siłę walczącego narodu. To też z zadowoleniem podkreślić należy, że Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego zakwalifikowało książkę tę jako obowiązkową dla bibljotek szkół powszechnych.

Stanisław Falkiewicz — Chorągiew — opowiadania żołnierskie z czasów wielkiej wojny — z ilustracjami K. Mackiewicze — Warszawa 1930 — Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy — Str. 116 + 6 ulb.

Są to opowiadania, przeznaczone dla żołnierzy, i wchodzące w skład t. zw. „Bibljoteczki żołnierza polskiego". Oparte na rzeczywistych zdarzeniach, proste i jasne, uczą hardości ducha, męstwa i polskości. Tomik p. Falkiewicza szczególnie się temi walorami odznacza, i jako taki powinien być polecony nietylko braci żołnierskiej, ale i szerokim rzeszom uczącej się młodzieży.

ZOFJA DROMLEWICZOWA.

Encyklopedja filmowa

P.

PRZYJACIELE.

Są to dwaj mężczyźni, którzy jako małe dzieci jeszcze przysięgli sobie przyjaźń do końca życia.

Przyjaciele mają wytatuowane powyżej łokci ozdobnem gotyckim pismem zdanie:

„Nic nie zniszczy naszej przyjaźni".

Patrzą na siebie wzrokiem pełnem zrozumienia i pomagają sobie w potrzebie.

Taki stan rzeczy trwa do dnia gdy na drodze ich życia staje kobieta.

Naturalnie kobieta zła i rozpustna, gdyż jakaż kobieta dobra proponowałaby przerwać węzły tak rozczulającej przyjaźni. Ona próbuje to uczynić.

Na jednego patrzy czule, z drugim się całuje. Wreszcie poślubia jednego z nich, a drugiego namawia, aby ją uwiódł.

O Biedna przyjaźni!

Naprożno przyjaciele przypominają sobie dziecinne lata, spędzane na górce w ogrodzie. Naprożno całemi nocami odczytują wytatuowany powyżej łokcia napis:

„Nic na świecie nie zniszczy naszej przyjaźni".

Kobieta jest silniejsza. I oto któregoś, dnia jeden z nich usiłuje wyskrobać nieszczęsny napis, jest to nieomylny znak, że postanowił dopuścić się zdrady.

I oto w nocy udaje się do złej kobiety, do żony swego przyjaciela. Lecz w chwili gdy trzyma ją w ramionach, zjawia się tamten.

O zdrajco — krzyczy — podły zdrajco.

I zamierza się nań sztyletem.

Zła kobieta patrzy z radością, myśląc, że za chwilę poleje się dla niej krew.

Lecz nie. Nagle przed oczyma walczących staje mały ogródek, w którym spędzili dziecięce i młodzieńcze lata. Nóż wypada im z ręki i sprawiedliwym trafem godzi w pierś podłej kobiety, która natychmiast umiera.

A na jej grobie przyjaciele podają sobie znów przyjazne dłonie, obnażają łokcie i z rozczuleniem patrzą na wytatuowany na nich napis.



(fot. Metro, Paramount.)

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE

Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 72-85 i 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1,50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej. (Oprócz dni świątecznych)

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12.